

Nr 3 (142) – B Rok 24

Maj-Czerwiec 2018



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

# Wołanie z Wołynia

## Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*  
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka  
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

**Redaktor naczelny:** ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

**Redakcja:** Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,  
ks. Grzegorz Draus, Maria Kalas, Jarosław Kowalczuk, Ludmiła Poliszczuk,  
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.  
Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-26-42

E-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,  
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

**PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC**

**nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001**

~ ~ ~

“**Wołyński Słownik Biograficzny**”:

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

„**Dziennik pisany nad Horyniem**”

<https://ostrog.blox.pl/>

**Jesteśmy na Facebook’u:**

<https://www.facebook.com/Wolanie>

## SPIS TREŚCI

- s. 3-5: Marcin HAŁAŚ, *Kresowi rycerze. Doktor ksiądz Henryk Mosing*
- s. 6-8: O. Paweł FERKO OCD, *Matka Boża Berdyczowska (1/7): Matka Boża Śnieżna*
- s. 9-10: Ірина САШКО, *Український Джузеппе Москати*
- s. 11-18: Maria KALAS, *Św. Andrzej Bobola – apostoł i męczennik wschodnich kresów. Praca i męczeństwo*
- s. 19-29: Ks. Ryszard Stanisław BORKOWSKI, *Moja działalność apostołska na Wschodzie*
- s. 30-36: Danuta SIWIEC, *Widok z lipy – miłość i nienawiść*
- s. 37-38: Jan A. PASZKIEWICZ, *Wołyńskie (i nie tylko) wątki wspomnień ocalonych od zapomnienia. Kanonier Zygmunt Oleszczuk (1922-1944)*
- s. 39-41: Ерна ШЕВЧУК, *Антоній Мальчевський вкотре зібрав своїх шанувальників*
- s. 42-48: S. Dobrawa Ewa PIAŚCIK OSB, *Zgromadzenie Sióstr Benedyktynek Misjonarek na Ukrainie w latach 1977-1991*

Poprzednie numery „Wołania z Wołynia” z lat 2010-2017 w wersji elektronicznej dostępne są m.in. pod adresami:  
[http://www.duszki.pl/wolanie\\_z\\_wolynia/](http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/)  
<https://kresy24.pl/archiwum-pisma-wolanie-z-wolynia/>

Uprzejmie dziękujemy za pomoc w digitalizacji archiwum naszego czasopisma Śląskiej Bibliotece Cyfrowej.  
<https://www.sbc.org.pl/>  
 Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy.  
 Redakcja „Wołania z Wołynia”



Rzeczpospolita Polska  
 Ministerstwo  
 Spraw Zagranicznych



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2018 r.” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”

З життя Католицької Церкви на Україні - З життя Церкви в Україні

## KRESOWI RYCERZE. DOKTOR KSIĄDZ HENRYK MOSING



„KSIĄDZ DOKTOR”

– w ten sposób tytułujemy kapłanów, osiagających tytuł naukowy. O Henryku Mosingu należy mówić odwrotnie – doktor ksiądz. Świecenia kapłańskie przyjął bowiem w konspiracji, gdy był już wybitnym naukowcem. Udzielili mu ich dwaj wielcy biskupi: Stefan Wyszyński i Karol Wojtyła. Dzięki temu doktor Henryk Mosing sprawował nielegalnie posługę duszpasterską w całym Związku Sowieckim.

Historia jego życia mogłaby się stać scenariuszem wspaniałego hollywoodzkiego filmu, tymczasem postać Henryka Mosinga wciąż nie jest dobrze znana nawet w Polsce. Urodził się w 1910 roku we Lwowie, z którym związał całe swoje życie. W 1934 roku ukończył studia medyczne na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Trzy lata później uzyskał tytuł doktora medycyny. Równocześnie ze studiami i działalnością religijno-społeczną, w jaką angażował się już jako młody człowiek - od 1930 roku pracował kolejno jako wolontariusz, asystent a następnie starszy asystent, w laboratorium duru plamistego przy Za-

kładzie Biologii Ogólnej Uniwersytetu Jana Kazimierza. Placówkę tę stworzył i kierował nią prof. dr Rudolf Weigla - wybitny lwowski zoolog i bakteriolog, wynalazca szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, zgłaszany jako kandydat do Nagrody Nobla.

Od 1935 do 1939 pracował w Centralnym Laboratorium Biologicznym Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie, zachowując cały czas kontakt z prof. Weiglem. Po wybuchu II wojny światowej wrócił do Lwowa i podjął pracę w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym prof. Rudolfa Weigla. Instytut ten funkcjonował nieprzerwanie przez okres okupacji sowieckiej i niemieckiej. W okresie okupacji niemieckiej Lwowa dzięki niezwykłej odwadze prof. Rudolfa Weigla, przy współpracy dra Mosinga oraz całego zespołu naukowego, szczepionka przeciw tyfusowi plamistemu produkowana w instytucie trafiała nie tylko do rąk okupanta, ale także do oddziałów polskiego ruchu oporu, do obozu pracy przymusowej dla Żydów przy ul. Janowskiej, do warszawskiego getta i do innych miejsc.

Po zagarnięciu Lwowa przez Sowieców dr Henryk Mosing  
POZOSTAŁ W RODZINNYM MIEŚCIE.

Stosownie do przepisów sowieckich, w czerwcu 1948 uzyskał stopień kandydata nauk medycznych, a w grudniu 1956 stopień doktora nauk medycznych. Nigdy nie porzucił pracy społecznej – otaczał szczególną opieką ludność polską pozostałą na ziemiach jej przodków, jak i tych



„DOKTOR” KOŚCIOŁA LWOWSKIEGO

# Ks. Prof. Henryk Mosing

## życie i działalność

Konferencja naukowa poświęcona 105 rocznicy urodzin  
ks. prof. Henryka Mosinga (1910-1999)

Polaków, których system sowiecki rozrzucił po całym terytorium ZSRR. Podejmował opiekę nad bezdomnymi dziećmi, pomagając im w zdobyciu wykształcenia i obraniu drogi życiowej. Poza Polakami byli to także Rosjanie, Żydzi, Ukraińcy.

W 1957 roku przyjechał do Polski na pogrzeb prof. Rudolfa Weigla. W 1961, podczas jednej z kolejnych podróży do Polski, prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński wraz z arcybiskupem metropolitą krakowskim Karolem Wojtyłą udzielił Henrykowi Mosingowi święceń kapłańskich w Laskach pod Warszawą. O tym fakcie władze polskie i sowieckie nie dowiedziały się nigdy. Mosing podróżował po całym Związku Radzieckim, biorąc udział w różnych zjazdach i konferencjach naukowych. Przy okazji tych podróży potajemnie pełnił posługę duszpasterską – udzielał sakramentów, odprawiał Msze święte. Ksiądz doktor Henryk Mosing potajemnie, nielegalnie wychowywał młodzież, wielu przygotował do święceń kapłańskich, prowadząc w Instytucie i swoim mieszkaniu tajne seminarium du-

chowne. Jednym z jego wychowanków jest obecny biskup pomocniczy Archidiecezji Lwowskiej Leon Mały.

Doczekał upadku Imperium Zła. Zmarł we Lwowie w 1999 roku. W liście przesyłanym na jego pogrzeb papież Jan Paweł II napisał: *„Dane mi było poznać Go jeszcze w latach 60-tych, kiedy jako wybitny uczony, kierownik Instytutu Epidemiologii we Lwowie, przyjechał na krótko do Polski. Dzielił się swym głębokim pragnieniem służenia ludziom nie tylko jako lekarz, ale również jako kapłan. W tamtych trudnych czasach korzystając z możliwości służbowych, wyjeżdżając w różne strony ówczesnego ZSRR, chciał podjąć trud niesienia Ewangelii i duchowej opieki tym, do których inni nie mogli dotrzeć. Po osiągnięciu opinii, wiedząc jak wiele dobrego uczynił ludziom w latach wojny i okresie powojennym, wraz z Kardynałem Prymasem przychylniśmy się do Jego prośby o dyspensę od strony teologicznej i o udzielenie święceń kapłańskich. Wiem, że naszego zaufania nie zawiódł. Z wielką gorliwością jako lekarz i kapłan peł-*



Współpracownicy R. Weigla i H. Mosinga w laboratorium Fot. Lwow.home.pl

nił swoją pasterską misję od wschodniej Ukrainy aż po Kaukaz i Syberię”.

Obecnie rozważany jest jego proces beatyfikacyjny („causes under consideration”).

Źródła:

Biogram w Wikipedii //

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Henryk\\_Mosing](https://pl.wikipedia.org/wiki/Henryk_Mosing)

Teresa Dutkiewicz, „Lekarz – profesor – ksiądz”, „Cracovia Leopolis” nr 4 (82), s. 24-25. //

<http://www.cracovia-leopolis.pl/index.php?pokaz=sylwetki&id=1122>

Władysław Szczepański, „Całe życie w służbie ludziom. Wspomnienie o ks. prof. Henryku Mosingu” //

<http://www.lwow.home.pl/rocznik/mosing.html>

**Marcin Halaś**

<https://polskaniepodlegla.pl/magazyn-patriotyczny/item/6813-wielcy-ludzie-kresow-kresowi-rycerze-doktor-ksiazd-henryk-mosing>

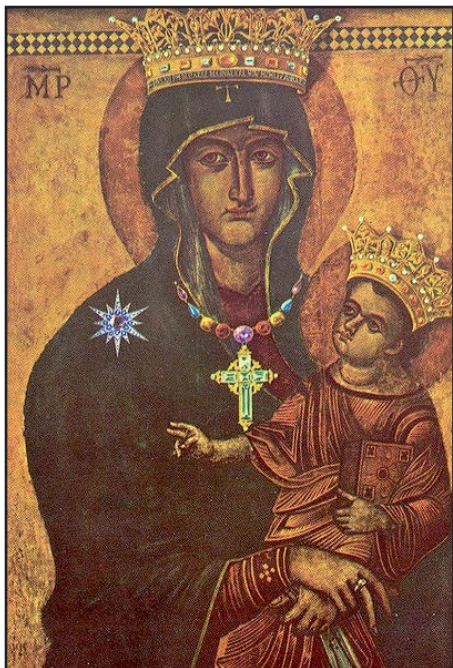


Grób rodziny Mosingów na Cmentarzu Łyczakowskim, w którym pochowany jest ks. dr Henryk Mosing

Fot. Wikimedia Commons

Ikonoграфия - Иконография

## MATKA BOŻA BERDYCZOWSKA (1/7): MATKA BOŻA ŚNIEŻNA



### Ikona Matki Bożej Śnieżnej w Rzymie

Dnia 19 lipca 2018 r. przypada okrągła, 20-ta rocznica koronacji nowego obrazu MB Berdyczowskiej, z tego tytułu zrodził się pomysł napisania cyklu artykułów, opisujący historię tejsze ikony od wieków słynącej łaskami. Autorem pomysłu jest karmelita bosy, o. Paweł Ferko OCD, od 2014 r. pracujący w Berdyczowie.

„*Królowa i Ozdoba stepów Ukrainy, wzgórz Podola i Wołyńskich lasów, Przew cudowna w Berdyczowskim obrazie Maryja*” – tak brzmiał najdłuższy tytuł, jaki nadawano łaskami słynącej ikonie MB Berdyczowskiej. A, że długa i ciekawa

jest również historia samego obrazu oraz szeroki zasięg kultu ikony warto przybliżyć ją w kilku odcinkach ujętych tematycznie w poszczególnych artykułach. Pierwsza część poświęcona jest „prawzorowi” naszej Berdyczowskiej Pani, jakim jest Matka Boża Śnieżna z rzymskiej Bazyliki Santa Maria Maggiore (Matki Bożej Większej).

Ten najczęściej kopiowany i najpopularniejszy wizerunek Najświętszej Maryi Panny pochodzący według jednych znawców z IX w. (według innych z XII wieku), namalowany został w bizantyńskim stylu, i zdobią go greckie litery oznaczające Matkę Boga (Meter Theou). Obraz przedstawia Matkę Bożą obejmującą prawą ręką Dzieciątka Jezus, które trzyma na lewym przedramieniu. Widoczna prawa dłoń ozdobiona jest pierścieniem, zaś na naszyjniku wisi duży krzyż. Dzieciątko trzyma w dłoni Ewangelię. Obraz, otoczony kultem jako cudowny, zdobią papieskie korony.

### GENEZA

Zgodnie z przekazami w upalne lato 5 sierpnia 352 r. na rzymskie wzgórze Eskwilin niespodziewanie spadł śnieg. Wydarzenie to miały poprzedzić widzenia, w których Najświętsza Maryja ukazała się jednocześnie patrycjuszowi Janowi, wieszcząc mu, iż zostanie ojcem długo oczekiwanego i wymadlanego potomka (w zamian za co, ma ufundować świątynię) oraz papieżowi Liberiuszowi, uprzedzając prośbę patrycjusza Jana o zgodę na wystawienia kościoła. Znakiem miej-



Bazylika Santa Maria Maggiore w Rzymie

Fot. o. Paweł Ferko OCD

sca, w którym ma zostać wzniesiona budowla, miał być śnieg. Dla upamiętnienia tego wydarzenia nadano świątyni wezwanie Matki Bożej Śnieżnej (Santa Maria ad Nives).

Tradycję tę podjął papież Sykstus III, rozbudowując świątynię, jako wotum upamiętniające ogłoszenie przez Sobór w Efezie (431 r.) dogmatu Theotokos (o Bożym Macierzyństwie Maryi). Wezwanie przebudowanej bazyliki zmieniono na Santa Maria Maggiore – Matki Bożej Większej, jako jednej z czterech bazylik większych Rzymu. Papież Paweł V wybudował w bazylice, naprzeciw Kaplicy Sykstyńskiej, wyłożoną marmurami kaplicę (kaplica Borghese), w której nad wykładanym agatami, ametystami i lapis lazuli ołtarzu umieszczono wizerunek Matki Boskiej Śnieżnej.

## KULT

Początkowo kult Matki Bożej Śnieżnej miał charakter lokalny, od XIV wieku objął inne świątynie Rzymu, a za sprawą papieża Piusa V (od 1568 r.) upowszechniony został na cały Kościół. Szczególnie czczony jest wizerunek w Rzymie, gdzie nosi on wezwanie Salus Populi Romani (Ocalenie Ludu Rzymskiego), gdyż był obnoszony w procesjach w czasie różnych klęsk żywiołowych, jak również Rzymianie przypisują cudownemu wizerunkowi zażegnywanie wielu niebezpieczeństw od napaści. Istnieją na całym świecie kopie obrazu w setkach świątyń poświęconych Matce Bożej, z których wiele jest koronowanych (jak choćby obraz MB Berdyczowskiej). Matka Boża Śnieżna jest patronką kobiet oczekujących poczęcia, ludzi dotkniętych chorobami oczu, sportow-



**Ołtarz z ikoną Matki Bożej Śnieżnej  
w rzymskiej Bazylice Santa Maria  
Maggiore**

*Fot. Archiwum*

ców i turystów. Kościół katolicki obchodzi osobne święto Matki Bożej Śnieżnej – 5 sierpnia, czcąc rocznicę znaku, jakim był śnieg na Wzgórzu Eskwilińskim. W kaplicy bazyliki rzymskiej w czasie dorocznych obchodów święta, z kopuły zrzucane są białe płatki róż przypominające śnieg i symbolizujące wyproszone łaski.

Matka Boża Śnieżna z rzymskiej bazyliki była trzykrotnie koronowana:

– 1 raz przez papieża Klemensa VII w 1527 r.

– 2 raz przez papieża Grzegorza XVI, 15 VIII 1838 r.

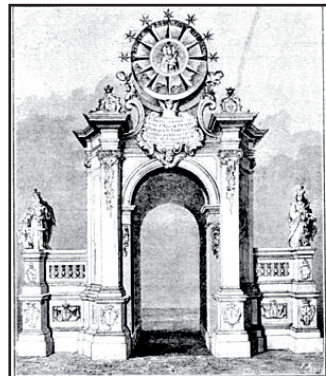
– 3 raz przez papieża Piusa XII, 1 XI 1954 r. (korony z tej ostatniej koronacji znajdują się dziś w muzeum bazyliki św. Piotra).

**OPIS**

Obraz (wielkości 117x79 cm) przedstawia Matkę Bożą (ujętą w 2/3 postaci) obejmującą prawą ręką Dzieciątko Jezus, które trzyma na lewym przedramieniu. Widoczna prawa dłoń ozdobiona jest pierścieniem, zaś na naszyjniku wisi duży krzyż. Maryja odziana jest w ciemnonie-

bieski płaszcz (maforion) ze złotymi obwódkami (symbol wyniesienia do chwały niebieskiej) i złotym krzyżem na czole (współcierpi z Chrystusem) oraz złotą gwiazdą na prawym ramieniu (jak gwiazda poranna jest zapowiedzią wschodu słońca, tak Maryja jest zwiastunką Jezusa – Światłości, która oświeca wszystkich). Szata Matki Jezusa jest koloru purpurowego świadcząca o Jej królewskiej godności (Królowa nieba i ziemi). W lewej ręce widoczna jest biała chustka symbolizująca czystość i dziewictwo Maryi a zarazem gotowość do pocieszania smutnych i ocierania łez płaczącym. Wokół głowy Maryi i Jezusa złote nimby – symbol świętości. Dzieciątko Jezus w lewej dłoni trzyma Ewangelię, prawą zaś wznosi w geście błogosławieństwa – podobnie jak u prawej ręki Maryi łączy palec wskazujący i serdeczny – ukazując w ten sposób dwie natury Chrystusa: boską i ludzką. Trzy pozostałe palce, także złączone, symbolizują trzy Osoby Boskie. Jezus ubrany jest również w czerwoną szatę, która oznacza i godność królewską i miłość miłosierną, a lamówki złote wskazują na Jego Bóstwo. Głowy – Maryi i Jezusa zdobią papieskie korony, jako wdzięczny dar wiernych za doświadczone łaski i doznane cuda.

*o. Paweł Ferko OCD*



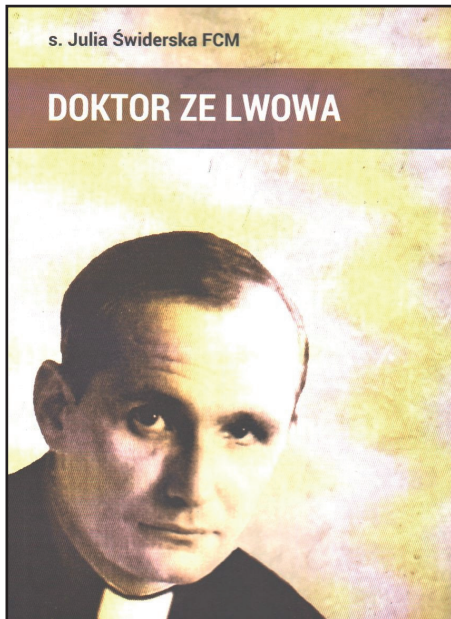


Wśród książek - Серед книжок

## УКРАЇНСЬКИЙ ДЖУЗЕППЕ МОСКАТИ



Вже третій день поспіль не можемо відірватися від захоплюючої книжки с. Юлії Свідерської FCM «*Doktor ze Lwowa*» («Лікар зі Львова»), яка нещодавно вийшла друком в острозькому видавництві «Воляння з Волині». Книжка розповідає про життєвий шлях проф. мед. наук, мікробіолога, лікаря, педагога, а також римо-католицького священника о. Генриха Мосінга (псевдонім: отець Павло) (1910-1999). Праця написана простою мовою, тому читається надзвичайно легко. Факти з біографії о. Мосінга переплітаються зі свідченнями його учнів, друзів, співпрацівників. Складається враження, що автор не лише розповідає про життя священника, педагога і лікаря, але й особисто знайомить читача з ним. Послідовно, викладений матеріал, доповнюють унікальні фотографії. Читаючи книжку, можна відчувати велику вдячність Богові за особу о. Генриха Мосінга, і водночас – гордість, адже він наш земляк, він ходив нашими вулицями, він був знайомим з нашими знайомими... Отець Мосінг – як пише у своїх спогадах єпископ Ян Немец – «лікуючи не тільки людські тіла, а й душі, світився добротою Бога Отця, смиренням Господа Ісуса і радістю Святого Духа».



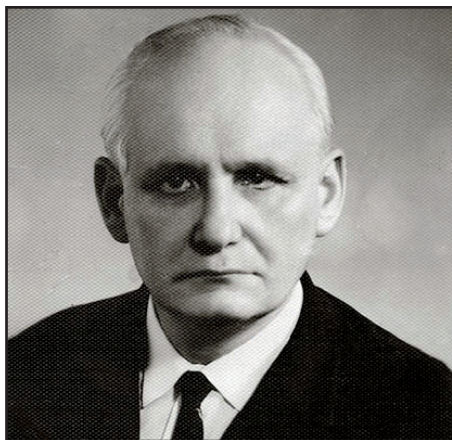
В особі о. Мосінга поєдналися усі риси як інтелектуала й мислителя, так і людини високої духовної культури та ерудиції. Народився й усе життя прожив у Львові. Втім встиг повчитися у Парижі, Брюсселі і Гамбурзі, виступити з доповідями у багатьох європейських університетах, об'їздити майже увесь Радянський Союз, зробити приголомшливе відкриття про походження висипного тифу. Він володів вісьмома іноземними мовами, відвідував лекції Жака Марітена і Габрієля Марселя, а Збігнева Герберта і Альфреда Яна врятував від німецьких концтаборів. Працюючи в Інституті епідеміології й мікробіології Львівського університету, під керівництвом проф. Рудольфа Вайгля, Мосінг став відомим завдяки



**Karykatura Henryka Mosinga z księgi pamiątkowej na urodziny Rudolfa Weigla 17. kwietnia 1941 roku, zbiory Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej**

провідній ролі у ліквідації епідемічного висипного тифу у східній Європі. Так писав про нього відомий український інфекціоніст і письменник, проф. Борис Угрюмов: «Мосінг керувався совістю і любов'ю до людей, великим серцем... Враховуючи масштаб інтересів та глибину знань, Генриха Мосінга можна назвати людиною століття».

Однак під краваткою і білим халатом приховувався не лише науковець і лікар, а й священник. Свячення отримав 21 вересня 1961 р. тайкома у підваршавських Лясах з рук двох славнозвісних кардиналів: Войтили і Вишинського. З тієї пори і впродовж усього свого життя поєднував у собі служіння милосердного й турботливого лікаря і відданого священника. Вдень і вночі приймав та відвідував хворих, а найбільш потребуючим під подушкою залишав гроші. Шлях до домівок своїх пацієнтів називав Хресною дорогою. Цим самим пригадував постать



італійського святого Джузеппе Москаті. Адже не втомлювався повторювати, що життя змарнував той, хто нікому не допоміг. У 1974 р. о. Мосінг заснував Інститут помічників Церкви св. Лаврентія, ставши для молоді ще й педагогом і наставником. Варто наголосити, що книжка «Doktor ze Lwo-wa» – перша і, як досі, єдина монографія, присвячена цій непересічній постаті у новітній історії України. Шкода тільки, що написана лише польською мовою. Хочеться, однак, вірити, що в недалекому майбутньому також український читач зможе захопитися як же цікавою і барвистою історією життя о. проф. др. Генриха Мосінга. Адже це Людина, про яку не можна не знати!

*Ірина Сашико*

Tekst został opublikowany  
na portalu CREDO:  
[credo.pro/2018/06/210478](http://credo.pro/2018/06/210478)



Ŋomines et historia - Ludzie i historia - Люди та історія

## ŚW. ANDRZEJ BOBOLA – APOSTOŁ I MĘCZENNIK WSCHODNICH KRESÓW PRACA I MĘCZEŃSTWO

Ks. Jan Poplatek T.J. historyk Kościoła i współbrat zakonny św. Andrzeja Boboli tak opisał w 1936 jego prace na Polesiu w czasach wojen kozackich, w latach 1642-1646 i od 1652 do męczeńskiej śmierci pięć lat później [1]:

„Wyprawy misyjne urządzał on w okolicach rozciągających się między Pińskiem a Janowem Poleskim. Obchodząc miasteczka i wioski wygłaszał w większych skupiskach ludzkich kazania, a przede wszystkim wstępował do wiejskich lepianek, gdzie ludność zupełnie zaniedbaną i ciemną w rzeczach wiary, nauczał katechizmu, w prosty a przystępny sposób wskazywał im, jak mają urządzać swe życie po katolicku, o ile zaszła potrzeba, udzielał Chrztu św., łączył pary małżeńskie, spowiadał i z szczególnym umiłowaniem udzielał Komunii św. Najbardziej celował w pracy nad zaniedbaną młodzieżą, którą miłym swym usposobieniem przyciągał do siebie i z wielką gorliwością, oraz umiejętnością, uczył katechizmu. Dla utwierdzenia prześladowanych za wierność wierze unitów, nie opuszczał ich domów i cerkiewek, w których podobnie, jak w kościołach lacińskich, krzepił ich na duchu i zachęcał do stałości w przestrzeganiu zasad wiary katolickiej. W apostołskiej swej gorliwości czynił wszelkie możliwe wysiłki, zmierzając ku temu, by, odrwany od jedności z Rzymem schizmaty-



ŚW. ANDRZEJ BOBOLA T. J.  
MĘCZENNIK I PATRON POLSKI

ków, sprowadzić z powrotem na łono Kościoła katolickiego (...). Uciążliwej pracy Andrzeja towarzyszyły błogostawione skutki. Wielu wątpiących utwierdziło się w wierze, inni powstawali z długo-

letnich nałogów i porzucali grzeszny tryb życia, wreszcie wielu schizmatyków tak z pośród ludu, jak też ze szlachty wyrzekło się swych błędów i składając wyznanie wiary wracało na katolicyzm. Do największych sukcesów pracy misyjnej Boboli należy zaliczyć przejście dwóch wsi, Balandyże i Udrożyn, liczących około 80 domów, na katolicyzm. Wobec tego nie wyda się dziwnym lub niezasłużonym tytuł, jakim go jeszcze za życia zaszczycono. Schizmatycy zwali go «duszochwatem», katolicy «łowcą dusz» i «apostolem Pińszczyzny»”.

Obok pragnienia, by czytelnik „zobaczył” św. Andrzeja Bobolę w jego pracach w swoich szeroko ujętych rodzinnych stronach, postanowiłam umieścić ten opis dlatego, że chyba dobrze oddaje ducha gorliwości apostołskiej i styl jego pracy. Gdyby rozpiąć nad tym obrazem jakiś czasowy łuk, jego drugi koniec mógłby znaleźć się nad osiedlami i domami w Kazachstanie, które odwiedzał nie tak dawno temu bł. ks. Władysław Bukowiński, nauczając prawd katechizmu, chrzcząc, spowiadając i z największą radością udzielając Komunii św. Błogosławione owoce... A jeszcze w tym samym stylu pracy można by zobaczyć słowa jego redakcyjnego kolegi z Łucka, ks. Zygmunta Chmielnickiego o umiłowaniu prawdy i tych, którym się ją głosi, i jego wierność tym słowom w prowadzeniu „Życia Katolickiego”, w jasnym stawianiu sprawy, w kierowaniu przekazu do ludzi najprostszych, w przenikliwym rozeznawaniu problemów i bezpośredniości... radował się wszak, i modlił na łamach pisma, prosząc wzajemnie o modlitwę – każdego. A jakże cieszył się z błogosławionych owoców nawróceń...! I tu były całe wioski, i te nawrócenia właśnie z ostatnich dwóch lat przed wojną spłotyły się przedziwnie, w jego nieśmiałej nadziei i ufności, z opieką Patrona

Odrodzonej Polski, Andrzeja Boboli. We wstępie do książki s. Marii Alicji jemu poświęconej, porównał zresztą ks. Chmielnicki warunki w jakich pracował w XVII w. Bobola do tych, w jakich przyszło pracować niepokalance z Maciejowa. Był zbyt ważnym świadkiem i uczestnikiem pracy Kościoła przed – i w czasie wojny, dbającym o precyzję słowa, by lekceważyć to przyrównanie. A i dzisiaj, kiedy – nosząc w świeżej pamięci lata klęsk – stajemy wobec nowych wyzwań, właśnie ten styl pracy świętego i horyzont, w jaki był wpatrzony – stają się na nowo przedziwne ważne.

Pius XII w encyklice z 1957 „*Invicti Athletæ Christi – w trzechsetletnią rocznicę chwalebego męczeństwa św. Andrzeja Boboli*” napisał o jego męczeńskiej śmierci, którą on ochotnie i z wiarą przyjął z rąk Kozaków we Wniebowstąpieniu Pańskie 1657: „*W tej męce dorówna Męczennik polski najchlubniejszym zwycięzcom, jakich czci katolicki Kościół*”. Szczególnie ważne są słowa św. Andrzeja, które wypowiedział w czasie tortur. Papież przytacza je za swoim poprzednikiem Piusem XI, który w 1938 dokonał kanonizacji świętego: „*Zapytany, czy jest łacińskim księdzem, odparł Andrzej: «jestem katolickim kapłanem; w ten wierze się urodziłem i w niej też chcę umrzeć. Wiara moja jest prawdziwa i do zbawienia prowadzi: wy powinniście żałować i pokutę czynić, bo bez tego w waszych błędach zbawienia nie dostąpicie. Przyjmując moją wiarę, poznacie prawdziwego Boga i wybawicie dusze wasze*”.

... Czy nie przypominają się tu słowa ks. Bukowińskiego, które wiele razy powtarzał mogącym go aresztować enkawudzistom; „*Jestem księdzem*”. I „*kiedy znów będę wolny, podejmę w całej rozciągłości pracę duszpasterską. Jestem przecież księdzem*”[2].

Najdokładniejszy opis męczeńskiej śmierci św. Andrzeja zawiera wspomniane dzieło ks. Poplatka. Bobola zatrzymany został we wsi Peredyle cztery km od Janowa Poleskiego (te właśnie chwile maluje s. M. Alicja w opublikowanych ostatnio w naszym piśmie „Ostatnich nieszpochach”). Obnażonego i przywiązanego do płotu bito nahajkami, wybito zęby i powleczone między końmi do Janowa.

„Odarty z odzienia, pokryty sińcami i krwawiącymi ranami odbył Andrzej swój wjazd triumfalny do Janowa, gdzie eskorta oddała go niezwłocznie w ręce starszych. Tu przyjęto go podobno szyderstwami i okrzykami: «To ten Polak, ksiądz rzymskiej wiary, który od naszej wiary odciąga i na swoją polską nawraca!» Następnie, wzywając go do porzucenia wiary katolickiej przypiekali mu ciało ogniem. Stałość Andrzeja doprowadzała ich do coraz większego okrucieństwa. «Tymi rękami Mszę odprawiasz, my cię lepiej urządzimy», mieli wołać do niego i wbijali mu drzazgi za paznokcie. «Tymi rękami przewracasz kartki ksiąg w kościele, my ci skórę odwrócimy, ubierasz się w ornat, my cię lepiej ozdobimy, masz za małą tonsurę na głowie, my ci wytniemy większą», wołali podobno w dalszym ciągu, zdzierając nożami skórę z rąk, piersi i głowy, odcinając wskazujący palec lewej ręki, końce obydwu pierwszych palców i wycinając skórę z dłoni. Łaska, jakiej Bóg udziela swym wybranym męczennikom, krzepiła Bobolę i dodawała mu wprost nadludzkich sił fizycznych i moralnych, dzięki czemu, poddając się woli Boga, wśród jęków wzywał świętych imion Króla i Królowej Męczenników, Jezusa i Marii, a w odpowiedzi na szyderstwa i bluźnierstwa swych katów, wzywał ich do upamiętania. Ci prowadzili swe ohydne dzieło w dalszym ciągu. Wykluli mu prawe oko, przewrócili go na drugą stronę, zdzierali mu



Św. Andrzej Bobola

skórę z pleców i świeże rany posypywali plewami z orkiszu, odcięli mu nos i wargi, przez otwór, wycięty w karku, wydobyli język i odcięli u nasady, wreszcie powiesili go u sufitu za nogi, głową na dół i naśmiewali się z ciała, rzucającego się w konwulsjach i skurczach nerwowych: «Patrzcie, jak Lach tańczy!» Dwugodzinne katusze dobiegały już końca, odcięty ze sznura, padł Bobola na ziemię i odziany w najcenniejszy ornat, bo utworzony z purpury krwi własnej, wznosił swe okaleczone ręce ku niebu, składając u tronu Boga ofiarę z życia i krwi własnej. Tak kończył swą pielgrzymkę ziemską apostoł miłości i jedności, który prawie 46 całe swe życie oddał na służbę Bogu i dobro dusz, i nie zawahał się nawet przed złożeniem ofiary z swego życia, tego dowodu najwyższego stopnia miłości Boga i bliźniego. Dwukrotne cięcie szabłą w szyję, było ukoronowaniem tragedii janowskiej, której ofiarą padł dnia 16 maja 1657 r. Andrzej Bobola” [2].

Kult Męczennika, choć nieprzerwany, zrazu nie był tak wielki, bowiem jego śmierć stała się wówczas jedną z wielu. Jak pisze Poplatek – Bobola był 49 – tym zamordowanym jezuitą od początku powstania Chmielnickiego, a los jego podzieliło wkrótce kilkunastu innych. A czasy dla katolików, poza niedługimi okresami względnego spokoju, już trwożne być nie przestały. Upływały pośród zmagających oddziałów kozackich i polskich w wojnie domowej, szwedzkich i rosyjskich, później w mrokach długich lat zaboru rosyjskiego, najazdu bolszewickiego, zaś po tak ważnym, ale niedługim okresie Polski Niepodległej pośród okropności przesładowań i męczeństwa II wojny.

### WALKA DWÓCH ŚWIATÓW

O europejskim tle wydarzeń, w istocie swojej odzwierciedlających proces odchodzenia Europy od wiary, które stały się przyczyną stuipięćdziesięcioletniego opóźnienia w procesie beatyfikacyjnym oraz powodem „peregrynacji” relikwii z Pińska do Połocka i uwięzienia ich do Moskwy pisze autor cytowanej wyżej książki. Wydarzenia te tworzą szeroką panoramę zmagania świata bez Boga oraz wiary, budowanej ku jedności Kościoła jeszcze przez takie postaci jak Piotr Skarga czy św. Jozafat Kuncewicz. „Dwa światy”... Za tym ogólnym określeniem, którego treść w dwudziestoleciu międzywojennym tak mocno sobie na różnych polach uświadamiano, kryją się żywi ludzie, katolicy świeccy i osoby duchowne. Znalazłszy się w kręgu oddziaływania świętego, weszli w czasy współczesne. Najwięcej tu oczywiście osób, których imion i nazwisk nie znamy, a których nie wyniesione na ołtarze relikwie, jak by to powiedział pewien ojciec duchowny, znajdują się na cmentarzach, a często gdzieś w polu. Zaś wśród tych zapisa-

nych w historii kresowego Kościoła można choćby wymienić bohatera wiersza s. Marii Alicji „*Na Alleluja*” przytoczonego w poprzednim numerze „*Wołania z Wołynia*”, ks. Konstantego Budkiewicza proboszcza parafii św. Katarzyny w Petersburgu skazanego na śmierć i zamordowanego w Wielkanoc 1923 przez bolszewików. Jak pisze Poplatek 17 września 1917 w Połocku w trakcie uroczystości przełożenia relikwii bł. Boboli do nowej metalowej trumny odprawił w obecności abpa Edwarda Roppa Mszę św. wotywną. Ks. Jan Rostworowski T.J. wygłosił wówczas kazanie nawiązujące do Księgi Mądrości: „*Zdało się oczom niezbożnych, że oni pomarli*”. Jezuita ten, wróciwszy wówczas z zesłania, został potem promotorem kanonizacji świętego i, będąc redaktorem kilku pism, pisywał o nim również w „*Życiu Katolickim*” [3]. Czy to jedna z trzech dużych relikwii świętego (zeber) pobranych przy tamtej okazji niesiona była w stu tysięcznej procesji po ulicach Warszawy, gdy już grzmiały armaty na przedpolach Warszawy przed bitwą w obronie chrześcijaństwa i naszej niepodległości? Rocznicy Cudu nad Wisłą poświęcił dwukrotnie artykuł ks. Władysław Bukowiński i kilkakrotnie ks. Zygmunt Chmielnicki.

### PRZED WOJNĄ

„*Przez ziemie nasze idzie powiew świętości*” – pisał ks. Zygmunt Chmielnicki w artykule na Wielkanoc 1938, który ukazał się w „*Życiu Katolickim*” z datą 17 kwietnia, w dniu kanonizacji świętego. W tym określeniu kryje się poczucie doniosłości i niezwykłości chwili dziejowej, wykraczającej poza zwykłe oceny i miary historyczne czy polityczne – choć przecież nie przeczące im. Splot rzeczy nadprzyrodzonych i wydarzeń doczesnych. Radość z wyniesienia wielkiego Polaka na ołtarze, gdy Prorok wskrzeszenia bytu pań-

*Dziękujemy św. Andrzejowi za pozostawienie nam wzoru apostołskiej gorliwości i wierności!*

*„Pamięć spotkania ze świętym męczennikiem pozostaje niezatarta... Jego życie symbolizuje jakiś wielki okres dziejów Polski, Polski unijnej, Rzeczypospolitej trzech narodów, Polski, w której wraz z unią znalazły się dwie odmiany chrześcijaństwa: chrześcijaństwo łacińskie i chrześcijaństwo wschodnie”.*

*Jan Paweł II, słowo do polskich pielgrzymów, Rzym, 29 V 1988 r.*



stwowego Polski staje się w niej przewodnikiem na drodze duchowego odrodzenia i powszechnego powołania do świętości. Staje się Patronem i współtwórcą dzieła budowania jedności Kościoła, dzieła które oto rozwijać się zaczęło. Były to treści, którym całym sercem służył ks. Redaktor! Odkąd Pius XI w 1937 zatwierdził cuda uzdrowienia dwóch kobiet za przyczyną bł. Andrzeja, pismo przynosiło coraz więcej artykułów na jego temat. Opublikowano wielostronicowy żywot świętego, artykułów na temat pamiętnego proroctwa odzyskania po wielkiej wojnie niepodległości, które Męczennik w 1819 wyrzekł do dominikanina o. Alojzego Korzeniewskiego w Wilnie. Tłumaczono, na czym polega obrzęd wyniesienia na ołtarze, jak będzie przyozdobiona bazylika watykańska, a potem obszernie relacjonowano te uroczystości. Zamieszczono orędzie do Polaków Prymasa Polski kard. Augusta Hlonda. Pisał Prymas: „postać, cnoty i czyny proroka wskrzeszenia Polski powinny krzepić i współczesne pokolenia tym duchem, którego on był apostołem, wyznawcą i męczennikiem (...) Wielkim wskazaniem świętego Andrzeja jest nasze posłannictwo religijne i kulturalne na kresach wschodnich. Bez sprzeniewierzenia się swej misji dziejowej nie możemy uchylać

się od zadań, które nam Opatrzność tam wyznaczyła (...) To powołanie nasze, nasz polski obowiązek” [4]. Rozwinął jego myśli ks. Władysław Bukowiński w artykule „Wielkie wskazanie błg. Andrzeja Boboli”. W majowym numerze opisywano „Cuda św. Andrzeja Boboli”, zapowiadano powrót relikwii świętego do Polski i zamieszczono reportaż z tego przejazdu. Tygodnik informował o inicjatywie profesorów i kleryków Seminarium sprowadzenia w związku z uroczystościami złotego jubileuszu kapłaństwa bpa Adolfa Szelażka relikwii do katedry łuckiej. Niepodpisany artykuł opublikowany w dzień przybycia relikwii do Łucka, tj. 11 września 1938 kończył się modlitewną prośbą: „Św. Andrzeju, Męczenniku naszej ziemi kresowej, módl się za nami, ziemię Twoim potem i krwią zlaną zamieszkującymi!” [5] W w pierwszą rocznicę kanonizacji zamieszczono relację na temat trzydniowych obchodów bobolańskich w Dubnie, gdzie znajdowało się jezuickie Seminarium Wschodnie; w podsumowaniu napisano: „Przypomniały się dawne czasy przedrozbiorowe, kiedy to nie znano separatyzmów obrządkowych i językowych (...) Katolicka jedność uderzała przede wszystkim. Różnica obrządków wystąpiła tu z całą swą siłą, jako ozdoba Kościoła „jed-

nego w różności” – powszechnego w rozmaitości” [6]. S. Maria Alicja związana z ruchem odnowy liturgicznej zamieściła w tygodniku kilka utworów literackich poświęconych świętemu, a w 1939 salwatorkianie opublikowali jej książkę „*Wielki Patron Odrodzonej Polski*” ze wspomnianym wstępem ks. Chmielnickiego. Była to najprawdopodobniej jedna z ostatnich książek diecezji łuckiej [7].

Wołynianie pokochali swojego Apostoła i wszystkie pielgrzymki do centrum kraju odwiedzały jego relikwie złożone w kaplicy oo. jezuitów przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Największą z nich była pielgrzymka z Równego na Jasną Górę po kopię jasnogórskiej ikony do kościoła na Karłowyszczyźnie w maju 1939. Porusza zwłaszcza relacja pana Tadeusza Orlicza z parafii horyńgrodzkiej. Po trwającej kilkanaście godzin podróży (31 wagonów) wierni zatrzymali się w Warszawie i pierwsze kroki skierowali do grobu świętego, gdzie wysłuchali kilku Mszy św. Potem ruszyli na zwiedzanie miasta.

Ks. Chmielnicki pisał w kontekście bliskiej kanonizacji o Wielkanocy jako „święcie świętości” i związku Zmartwychwstania Polski z obowiązkiem dążenia do duchowego odrodzenia: „Skoro na tej ziemi naszej rodzili się, żyli i umierali tak wielcy Święci – czemuż my nie mielibyśmy iść w ich ślady? Czemuż ich duch nie miałby żyć w nas? (...) Odtworzyć w sobie trzeba Zmartwychwstanie Pańskie, jak oni potrafili je odtworzyć: zerwać z jednym życiem, aby zacząć nowe, umrzeć grzechowi a zacząć żyć Bogu (...) Zmartwychwstanie, odrodzenie duchowe Polski... Droga jeszcze daleka i trudna. A jednak jasna i prosta. To odrodzenie duchowe każdego z nas – nasze zerwanie z grzechem a zwrot ku Bogu. Zróbmy każdy, co do niego należy, nie czekając, aż zrobią inni. Z pojedynczych wysiłków złoży się

wysilek narodu” [8]. W kolejnym artykule „*Mamy Świętego*” opublikowanym tydzień po kanonizacji pisze o coraz szerszym procesie powracania do wiary katolickiej rzesz prawosławnych przede wszystkim pochodzących z rodzin siłą niegdyś przez carat oderwanych od niej w obydwu obrządkach. „*Czy nie sprawiły tego błagania św. Andrzeja, któremu sprawa nawrócenia Wschodu była tak drogą? Nie podejmujemy się tłumaczenia niezbadanych wyroków Bożych, ale trudno oprzeć się myśli, że mamy tu do czynienia z nowym dziełem św. Andrzeja Boboli*” [9]. I jeszcze motyw powołania do pracy na wschodzie, sprzęgnięty ze świadomością udziału w cierpieniu Chrystusa, ze wstępu do wspomnianej książki s. M. Alicji z marca 1939: „*Kresy wschodnie potrzebują kapłanów i zakonów – dziś jak wtedy, dziś może więcej niż wtedy, bo wtedy miały za sobą długi okres swobodnej pracy kościelnej, a dziś nabierają tchu po okresie ucisku, niewoli i poniewierki. Potrzebują kapłanów, zakonników, zakonnic, w dobie Akcji Katolickiej – i kościelnych pracowników świeckich, którzy by szli tutaj podobnie jak św. ANDRZEJ BOBOLA – w jego DUCHU APOSTOLSKIM, na DUSZ CHWYTANIE, z jego zaparciem się i poświęceniem, na współcierpienie na tych ziemiach z CHRYSTUSEM, czy rozłożone na długie lata, czy może nawet dokonane w jednym dniu wielkim – jak u niego*” [10]. Bo to właśnie w kontekście świętego Andrzeja pada jego wyznanie, chyba bardzo osobiste: „*Gdzież można lepiej odczuć tę ideę [jedności Kościoła] i pracować nad jej urzeczywistnieniem, jeżeli nie u nas, na tych terenach, na których on pracował, niemal w tych samych warunkach w jakich on pracował? Pracować z jego zaparciem się i z jego gotowością na samą śmierć męczeńską...*” [11] Należy tu przypomnieć, choć to może po raz kolej-



ny w naszym piśmie, że taka męczeńska śmierć stała się jego udziałem: zginął zakatowany przez więziennego strażnika 16 kwietnia 1944 roku, w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, w 26 roku kapłaństwa. Można dodać: w przededniu rocznicy kanonizacji świętego, w tymże samym liturgicznym okresie wielkanocnym.

Ks. Bukowiński we wspomnianym artykule „*Wielkie wskazanie błog. Andrzeja Boboli*” pisze: „*kresy wschodnie to niezmiernie pole do pracy religijnej, kulturalnej, państwowej i narodowej – to teren odwiecznego polskiego postannictwa na Wschodzie (...) kuźnią prawdziwej wielkości zamartwychwstałej Rzeczypospolitej Polskiej są nasze ziemie kresowe. (...) Są przede wszystkim dla nas, którzy mamy zaszczyt i szczęście tu, na kresach, żyć i pracować*”. Powtarza słowa Prymasa Hłonda: „*Śladami Boboli i tylu zapamiętałych szaleńców apostołskich, którzy w najniebezpieczniejszych czasach podtrzymywali na wschodnich rubieżach myśl jedności kościelnej, niech tam u boku dostojnych Biskupów staną do misyjnej pracy najlepsi z duchowieństwa, najgorliwsi spośród zakonników, najbardziej uchryśtusowane siostry, najidealniejsi świeccy działacze*” [12]. W innych słowach, ale przecież ujmuje istotę powszechnego powołania do świętości: pisze, by tu, na kresach każdy był „*najlepszy*”. „*Wszyscy razem i każdy z osobna. I w domu rodzinnym, i w pracy zawodowej, i w całym życiu naszym*”. Kiedy ktoś wraca do jakichś myśli, to znaczy, że naprawdę mu na nich zależy. Ks. Bukowiński powtarza tu myśl ks. prof. Kazimierza Zimmermanna zmarłego w 1925 rektora UJ i opiekuna Akademickiego Koła Kresowego, umieszczoną już raz w zredagowanej przez siebie Jednodniówce Akademickiego Koła Kresowego „*Na wschodniej rubieży*” w tymże 1925. „*W ludziach na kresach miesz-*

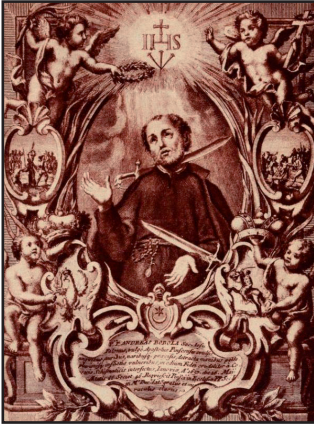
*kających Ojczyzna widzi nie tylko swoich urzędników, adwokatów, lekarzy, nauczycieli czy księży, nie tylko ma tam swoich rolników, przemysłowców, kupców czy robotników, ale przede wszystkim upatruje w każdym z nich, w mężczyźnie czy kobiecie, swego męża zaufania, swego rzecznika, swego szermierza – czasu pokoju czy wojny – i swego pomnożyciela*”. Powtarza słowa Prymasa, i swoje myśli o „*Pol-sce nowej, do głębi katolickiej*” wzrastającej na kresach, dzięki ofiarnej, codziennej pracy tych, co „*dziś, jak przed wiekami, tworzą na wschodzie żywe i niezniszczalne Przedmurze chrześcijaństwa*”.

#### DZISIAJ

Na koniec encykliki poświęconej św. Andrzejowi Boboli Pius XII zwraca się do Polaków: „*W Jego świetlane ślady wstępując niech nadal kochają wiarę swoich ojców wbrew wszelkim zasadzkom. Niech dołożą wszelkich starań, by pielęgnować obyczaje chrześcijańskie. Niech dobrze zdadzą sobie sprawę, że szczególnym tytułem chwały ich ojczyzny jest: dorównanie przodkom w niewzruszonej stałości cnoty i dokonania tego, by Polska była zawsze wierna i pozostała przedmurzem chrześcijaństwa*”.

16 maja 2002 Prymas Józef Glemp ogłosił go jednym z Patronów Polski; napisano wówczas w którejś z gazet, odwołując się do słów św. Jana Pawła II, że jest patronem „*naszej trudnej wolności*”.

Nie wiem, czy przetrwał kult św. Andrzeja Apostoła i Męczennika Kresów Wschodnich w diecezji łuckiej. Myślę przecież, że opieka jego nad kresowymi katolikami obu obrządków jest nieodwołalna. Obu! A i natchnienie płynące z jego świętości, które obaj redaktorzy „*Życia Katolickiego*” czerpali pełnymi garściami, w tak bardzo twórczy sposób, z rozmachem nie szcędzącym własnego życia,



choć tak zarazem obaj wrażliwi na każdy, najmniejszy przebyty krok na tej drodze – co trudno tu rozwijać, ale zostało i, daj Boże, jeszcze zostanie wiele razy podjęte – nadal niesie „powiew świętości”. Św. Andrzej Bobola był Sodalisem Mariańskim, animatorem wspólnot świeckich mieszczan i ziemian żyjących duchem św. Ignacego. Ich członkowie siebie samych najpierw, a potem „świat cały” wtedy – i dzisiaj – zdobywają dla wiary. Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego, dawniejsze Sodalitacje Mariańskie mają go w Polsce za swojego Patrona i dzisiaj istnieją na całym świecie.

Pozwolę sobie jeszcze złożyć ks. Redaktorowi w imieniu Przyjaciół „Wołania z Wołynia” i swoim najserdeczniejsze życzenia Bożych łask i opieki św. Andrzeja Boboli z okazji 26 rocznicy święceń kapłańskich przypadającej w dniu wspomnienia liturgicznego Świętego, 16 maja.

**Maria Kalas**

Przypisy:

[1] Jan Poplatek T. J., „*Błogosławiony Andrzej Bobola Towarzystwa Jezusowego. Życie – Męczeństwo – Kult*”, Kraków 1936, s. 129 Tutaj i w następnym cy-

tacie z jego książki pominęłam odniesienia autora do źródeł.

[2] S. Klara Bitz, „*O naszym kochanym ojcu, księdzu Bukowińskim*”, [w:] „*Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*”, cz. 1, zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 85.

[2] Tamże, s. 145-146.

[3] M. in. „*Pierwszy święty w Zmarłychwstałej Polsce*”, „*Życie Katolickie*” nr 11 z 13 marca 1938, s. 165 – 166, czy „*Powrót ciała św. Andrzeja Boboli do Polski*”, tamże, nr 20 z 15 maja 1938, s. 308.

[4] „*Odezwa J. Em. Ks. Kardynała Prymasa w sprawie kanonizacji błog. Andrzeja Boboli*”, „*Życie Katolickie*” nr 9 z 27 lutego 1938, s. 130-131.

[5] [Ks. Zygmunt Chmielnicki], „*Nowy skarb naszej diecezji*”, „*Życie Katolickie*” nr 37 z 11 września 1938, s. 583.

[6] [Ks. Zygmunt Chmielnicki], „*Z uroczystości Bobolańskich w Dubnie*”, „*Życie Katolickie*” nr 16 z 16 kwietnia 1939, s. 247-248.

[7] Zob. Maria Kalas, „*S. Maria Alicja (Zofia Teliżanka)*”, „*Wołanie z Wołynia*” nr 2 (141) z marca-kwietnia 2018, s. 16-20.

[8] Ks. Zygmunt Chmielnicki, „*Wielkanoc 1938*”, „*Życie Katolickie*” nr 16 z 17 IV 1938, s. 241-242.

[9] Tenże, „*Mamy świętego*”, „*Życie Katolickie*” nr 17 z 24 kwietnia 1938, s. 257-258.

[10] Ks. Z. C. [Zygmunt Chmielnicki], „*Słowo wstępne*” do: S. Maria Alicja, niepokalanka, „*Wielki Patron Odrodzonej Polski*”, Trzebinia 1939.

[11] Ks. Zygmunt Chmielnicki, „*Mamy świętego*”,... s. 242.

[12] Ks. Władysław Bukowiński, „*Wielkie wskazanie bł. Andrzeja Boboli*”, „*Życie Katolickie*” nr 15 z 9 kwietnia 1938, s. 244-246.

Świadectwo - Свідчення

## MOJA DZIAŁALNOŚĆ APOSTOLSKA NA WSCHODZIE

Przedstawienie, nawet krótkie, działalności apostolskiej na Wschodzie jest dość trudne bo nie było ono systematycznie rejestrowane z różnych względów. W początkach tej działalności nikomu do głowy nie przychodziło, że będzie ona kontynuowana w dłuższej perspektywie czasowej. Raczej spodziewano się rychłego jej przerwania przez władze reżimowe i ukarania każdego, kto odważył się ją prowadzić wbrew niezwykle restrykcyjnym ograniczeniom swobód obywatelskich i podstawowych praw człowieka.

Kontakty pierwsze z Kościołem na Wschodzie nawiązałem już w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku. Jako młody pracownik naukowy Wydziału Matematyki i Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego otrzymałem zaproszenie od mojej studentki pochodzenia żydowskiego, Eddy Keszler (ojciec był Żydem niemieckim a matka Żydówką rosyjską,) do odwiedzenia ówczesnego Leningradu. Tam mieszkali jej dziadkowie; dziadek był profesorem Politechniki Leningradzkiej.

Przez prawie dwa miesiące miałem okazję zapoznać się bezpośrednio m.in. z opłakanym stanem Cerkwi prawosławnej i Kościoła katolickiego. O kontaktach osobistych z kapłanami katolickimi nie było nawet mowy, nie wiem czy chociaż jeden był wtedy w Leningradzie. Spotykani duchowni prawosławni, przy bardzo nielicznych czynnych cerkwiach (na ogół zamkniętych w ciągu dnia, a otwieranych jedynie na wieczorne nabożeństwa) unikali rozmów, widać było totalne

zastraszenie. Szczególnie przygnębiające wrażenie robiły piękne świątynie zamienione w muzea ateizmu i religijnej propagandy (*музей атеизма и религиозной пропаганды* – tak to wtedy nazywano).

Po latach, już jako kapłan, podobne muzea spotkałem we Lwowie (kościół dominikański) i w Wilnie (kościół św. Kazimierza). Indoktrynacja, którą przekazywano tam organizowanym, zwłaszcza przymusowym wycieczkom dzieci i młodzieży, była oparta na wyjątkowym przekłamaniu, zjadliwości, szyderstwie, pogardzie i niewyobrażalnej nienawiści do religii. Człowiek, który nie miał żadnego dostępu do katechezy lub literatury religijnej był jednocześnie tak formowany w szkole i poprzez media, aby nabrał przekonania, że religia jest opium dla narodu. Duchowni nie mieli żadnej możliwości oddziaływania na dzieci i młodzież do 18 lat. Za jakiegokolwiek kontakty z młodzieżą byli karani niezwykle surowo: zakazem wszelkiej działalności duszpasterskiej, wywiezieniem z danej miejscowości bez możliwości powrotu albo długoletnim więzieniem. Jakiegokolwiek przekaz doktryny wiary i moralności chrześcijańskiej młodemu pokoleniu był niezwykle surowo zabroniony (*черезвычайно строго запрещено*). Można było spodziewać się kar najsurowszych i rzeczywiście skutkowało to niebывалым zastraszaniem. Surowość była skrupulatnie i dosłownie egzekwowana.

Zastraszanie z powodu ateistycznej indoktrynacji udzielało się także ludziom świeckim. Nawet w rozmowach prywat-

nych, wśród przyjaciół, nie dało się przeprowadzić dłuższej konwersacji na tematy religijne. Wiara, Bóg, moralność chrześcijańska – to były tematy tabu, bardzo niebezpieczne; poruszanie ich w rozmowach budziło niejednokrotnie podejrliwość i skutkowało mogło donosem do służb specjalnych. A ponadto, w tzw. nowoczesnym społeczeństwie radzieckim nie widziano miejsca dla szerzenia „ciemnoty i zabobonu”. Nie było mody na rozmowy o Kościele i jego nauczaniu. Traktowano tę tematykę jako odpowiednią dla ciemniaków; w tzw. wyższych sferach należało do dobrego tonu traktować religię jako sprawę osobistą lub najlepiej – nieistniejącą. Tak kształtował się człowiek radziecki (советский человек), dla którego stosowny był tzw. naukowy pogląd na świat (так называемый научный взгляд на мир).

Z tego najwcześniejszego okresu moich kontaktów ze Wschodem, jeszcze przed wstąpieniem do Wyższego Seminarium Duchownego w Siedlcach (a więc przed rokiem 1972), wspomnę o zdarzeniu z dziedzica przed katedrą św. Stanisława i św. Władysława w Wilnie. Ówczesny proboszcz mojej rodzinnej parafii w Radzikowie Wielkim, ks. kanonik **Kazimierz Dymitrowicz**, pochodził z Łotwy (Dyneburg nad Dźwiną). Po ukończeniu Akademii Duchownej w Petersburgu – przyjął święcenia kapłańskie w 1915 roku i został skierowany do pracy kapłańskiej w jedynej na tamtym terenie i jakże rozległej (sięgającej aż do Władywostoku) diecezji mohylewskiej. Tak się toczyły jego losy osobiste na tle burzliwej historii Kresów, że od nominacji na pierwszą placówkę, jako neoprezbiter, już nigdy nie wrócił w rodzinne strony. Na początku 1920 Dyneburg został zdobyty przez oddziały polskie dowodzone przez gen. Rydza-Śmigłego. Większą część zajętego terytorium przekazano władzom nie-

podległej Łotwy. W obawie przed odcięciem przez Rosjan (ofensywa Tuchaczewskiego podczas wojny bolszewickiej) polska załoga cytadeli opuściła miasto w lipcu 1920 i wtedy rozpoczęła się długa wędrówka tegoż kapłana ku Macierzy.

Z rodziną na Wschodzie nie miał żadnego kontaktu przez ponad 50 lat. Tak był przestraszony, że nawet bał się tego kontaktu szukać osobiście a na plebanii nie przechowywał żadnego adresu swojej rodziny. Dopiero po złotym jubileuszu kapłaństwa (po 1965 r.), ks. Dymitrowicz zwrócił się do mnie z prośbą o odnalezienie jego rodziny i ewentualne zorganizowanie podróży, aby przed śmiercią mógł odwiedzić groby rodziców i rodzeństwa. On był siódmym dzieckiem z ośmiorga, podczas odwiedzin żyła tylko najmłodsza siostra Weronika, z którą – przy pierwszym po latach spotkaniu – długo nie mogli się rozpoznać. Dopiero przytaczanie przez Weronikę fragmentów przemówienia ks. Kazimierza z jego uroczystości prymicyjnej – pozwoliło powoli wskrzesić relacje rodzinne.

Atoli, w podróży na Łotwę, postanowiliśmy wcześniej odwiedzić Ostrą Bramę i krewnych ks. Dymitrowicza w Wilnie. Polskie władze paszportowe, wręczając nam dokumenty, wyraźnie zastrzegły, że do Związku Radzieckiego zabroniony jest wjazd w sutannie. Zrodził się problem, bo ten stary, gorliwy kapłan nie miał ani jednych spodni. Zawsze nosił sutannę. Teraz także nie chciał kupić spodni, uważając to za zdradę kapłańskiej powagi. Postanowił tylko, że na sutannę założy dłuższy płaszcz, dłuższy od sutanny, i tak spróbuje przejść przez kontrolę graniczną. Zastaniał się nieco walizkami i – udało się.

Gdy pewnego ranka wracaliśmy po mszy św. z Ostrej Bramy (oczywiście mój proboszcz w sutannie), nieoczekiwanie na dziedzica przed katedrą wileńską zauwa-

żyła nas grupa przedszkolaków, spacerując parami w przykładowym szyku, pod kierunkiem wychowawczynie. Gdy dzieci zauważyły starszego księdza w sutannie, widok dla nich był tak nieoczekiwany (duchowni mieli wtedy zakaz używania stroju duchownego), że podbiegłszy, otoczyły nas i chwyciły za sutannę, hałasując. Tak były rozbawione tym „*cudacznym*” widokiem, że przedszkolanka i ja mieliśmy sporo roboty, aby je usatkować. Z perspektywy ponad 50 lat od tamtego wydarzenia, można je wspominać z uśmiechem. Wtedy jednak byliśmy przerażeni i spodziewaliśmy się zawrócenia nas z podróży na granicę. I pewnie tak by się stało. Na szczęście syn krewnej ks. Dymitrowicza był jakimś funkcjonariuszem, wysoko usytuowanym w drabinie władzy i on to sprawił, że mogliśmy kontynuować naszą podróż do Dyneburga, a nawet udzielił nam służbowego samochodu z kierowcą. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak to się stało. Dalsze poznawanie sytuacji Kościoła na Wschodzie jeszcze bardziej zdumiewającym czyni ten wileński epizod. To był cud Tej, co w Ostrej Świeci Bramie. Ona to sprawiła, byliśmy tego pewni.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, po święceniach kapłańskich (1976 r.), moje kontakty ze Wschodem i zaangażowanie apostołskie na tamtych terenach przybrały bardziej regularny, rytmiczny charakter, ale jedynie okazjonalny. Ze względu na liczne obowiązki w diecezji siedleckiej mogłem duszpasterstwu za wschodnią granicą poświęcać jedynie mój czas wolny: wakacje i ferie świąteczne (tylko wtedy mogłem uzyskać zwolnienie od pracy dydaktycznej i wychowawczej w Wyższym Seminarium Duchownym w Siedlcach czy też – w latach 1990-2017 – w Bursie św. Stanisława Kostki dla młodzieży męskiej, której byłem założycielem i dyrektorem).

Zaczęły się więc systematyczne wyjazdy do pracy na Wschodzie i zwykle były to okresy kilkutygodniowe, rzadziej przeciągały się do dwóch miesięcy. W tym czasie przeprowadzałam rekolekcje i dni skupienia dla siostr zakonnych (dla sercanek w Wilnie, honoratek we Lwowie i w Gródku Podolskim – dla większości siostr z różnych zgromadzeń pracujących na Podolu), odbyłem spotkania z alumnami Wyższego Seminarium Duchownego w Rydze (razem z ks. Janem Cepem) i z kadrą profesorską Wyższego Seminarium Duchownego w Kownie, prowadziłem parafialne rekolekcje wielkopostne i adwentowe, wspierałem pracę tamtejszych nielicznych kapłanów w okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy (bazylika archikatedralna Wniebowzięcia NMP we Lwowie, Kościół poddominikański Świętego Ducha w Wilnie, parafia Manikowce w obwodzie chmielnickim na Ukrainie, Kościół św. Piotra i Pawła w Tbilisi w Gruzji).

Zanim złożę świadectwo – w oparciu o osobiste kontakty – o kilku miejscowych kapłanach, moim zdaniem szczególnie wyróżniających się w duszpasterstwie, odnotujmy drobne, ale ważne epizody z odwiedzin w dwóch seminariach duchownych (były wówczas tylko dwa: w Rydze na Łotwie i w Kownie na Litwie). Wizyty były organizowane w najcisłej tajemnicy, bez starania się o wizy do tych miejscowości, aby nie rozbudzać nadmiernej zainteresowania władz i tak przeczułonych na punkcie tropienia aktywności cudzoziemców, zwłaszcza kapłanów z Polski.

Bezpośrednio po przeprowadzeniu rekolekcji wielkopostnych w Manikowcach (o czym niżej) udałem się – oczywiście *sub secreto* – w towarzystwie siostr fabrycznych do Rygi, na zaproszenie ówczesnego rektora Wyższego Seminarium Duchownego, biskupa **Wilhelma Niuk-**

sza (Vilhelms Nukšs:1938-1993), który od roku 1987 był jednocześnie biskupem pomocniczym w Rydze. Ostrzegano mnie, abym zachował daleko idącą roztropność w obecności biskupa rektora. To sugerowało, że nie jest on do końca „czytelny” i może być uwikłany we współpracę tajną z odpowiednimi służbami. Rzeczywistość tego nie potwierdziła w najmniejszym stopniu. Podkreślam to bardzo mocno po raz drugi. Już mianowicie w maju 2016 roku dałem temu wyraz publicznie podczas sympozjum naukowego w Worzelu k/Kijowa, organizowanego z okazji 25. rocznicy ustanowienia odnowionych struktur Kościoła katolickiego w Ukrainie, gdzie byłem zaproszony z referatem dotyczącym obrad Synodu Biskupów o rodzinie. Sposobność do wzięcia w obronę bp Niuksza nadarzyła się podczas dyskusji po innej prelekcji, przedstawiającej historię Kościoła na Wschodzie, w której temat domniemanej współpracy biskupa był wspomniany. Teraz raz jeszcze zaświadczam, że nie mam najmniejszej wątpliwości co do uczciwości ówczesnego rektora Seminarium. Zaraz po przybyciu moim do Rygi zorganizował on spotkanie ze wszystkimi alumnami (było ich około 70) i wykładowcami, na którym – po moim zagajeniu – otwarta dyskusja na wszelkie tematy trwała przez kilka godzin. Byłem urzeczony błyskotliwością, inteligencją, szczerością i otwartością biskupa Wilhelma, który osobiście – chodząc po sali – zachęcał alumnów do swobodnych wypowiedzi, zadawania pytań a moje odpowiedzi niejednokrotnie uzupełniał w tym samym duchu. Mimo, że pobyt w Rydze był nielegalny (miałem wizę pobytową ograniczającą moje rezydowanie jedynie do Lwowa), to jednak z tego powodu nie zaistniały później żadne komplikacje.

Powiem więcej. Zachęcony powodzeniem misji w Rydze postanowiłem nie

wracać bezpośrednio do Lwowa, ale dodatkowo złożyć wizytę w drugim Seminarium Duchownym, w Kownie. Miałem ze sobą sporo literatury religijnej, ksiąg i paramentów liturgicznych, które chciałem tam przekazać. W Kownie – ku memu zdziwieniu – zastałem atmosferę skrajnie odmienną. O spotkaniu z alumnami mowy być nie mogło. Jedyne spotkanie z Seminarium kowieńskim to wspólny obiad i spotkanie z kadrą wykładowców w refektarzu. Przebieg wizyty dość sstrywny, co prawda wszystko odbywało się z kurtuazją i grzecznym, ale na odległy dystans, graniczący z nieufnością, prawie w milczeniu. Nawet wtedy, gdy wprost kierowałem jakieś zapytanie do któregoś z obecnych księży profesorów, on – zamiast coś powiedzieć – błagalny wzrok kierował w kierunku księdza rektora, aby ten go wyręczył. Byłem tym początkowo zaskoczony, a od pewnego momentu to mnie bawiło a nawet śmieszyło, choć musiałem powstrzymywać się przed uzewnętrznianiem moich odczuć. Do dziś nie rozumiem co było przyczyną takiej zmywy milczenia i dystansu: zastraszenie posunięte do granic absurdu, obsesyjna niechęć do tego co polskie, dystansowanie się od jakiegokolwiek współpracy? Nie mam odpowiedzi na te wątpliwości, a obecna sytuacja – po trzydziestu latach od tamtego spotkania – nadal nie pozwala mi widzieć jasno naszych odniesień wzajemnych, polsko-litewskich.

Już tylko nieco później, pod koniec lat 80. ubiegłego stulecia rozpoczął się nowy okres odrodzenia narodowego na Litwie. Organizowano masowe demonstracje pod hasłem przywrócenia niepodległości. Sąjūdis – Litewski Ruch na rzecz Przebudowy (Pieriestrojki), założony na zjeździe w czerwcu 1988 roku jako nieformalne stowarzyszenie społeczne, w celu poparcia przebudowy systemu radzieckiego



O. Władysław Rafał Kiernicki

Fot. Archiwum

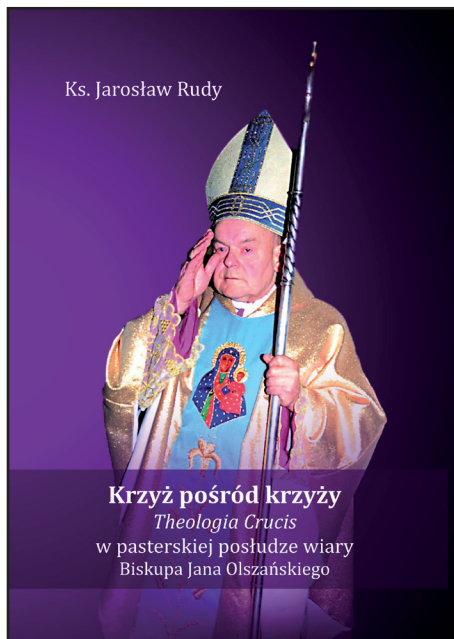
wkrótce zaczął opowiadać się za niepodległością Litwy. Do Ruchu należało wielu wpływowych komunistów.

Tenże Sajudis odniósł spektakularne zwycięstwo w wyborach do Rady Najwyższej Litewskiej SRR 24 lutego 1990 a już 11 marca 1990 Litwa ogłosiła deklarację niepodległości. Byłem tego dnia o świcie na placu przed bazyliką archikatedralną św. Stanisława i św. Władysława w Wilnie. Mimo przejmującego chłodu, przy niezwykle licznych udziałach Polaków i Litwinów koncelebrowałem mszę św. pod przewodnictwem kardynała **Vincenta Sładkevičiusa**. Bezpośrednio po mszy św. rozmawiałem na placu z kardynałem, gratulowałem Litwinom ich determinacji oraz wstępnego sukcesu. Chciałem wyrazić moją solidarność z odradzającą się Litwą i jej mieszkańcami, także Polaka-

mi. Atmosfera była niezwykle uroczysta i podniosła. Kardynał serdecznie mi dziękował i dodał, że wszystko to sprawiła Matka Najświętsza. Radość ogromna, tym większa, że przeżywana wspólnie, zgodnie ze słowami wieszczki: „*nektar żywota natenczas słodki, gdy z innymi dzielę...*”

Niestety, moja radość – tak szczerze odczuwana i dzielona z mieszkańcami Litwy – nie trwała długo. Rychło, niemal natychmiast, okazało się, że w katedrze wileńskiej od tej pory nie wolno odprawiać mszy św. po polsku i nic tu nie pomogły gorzkie łzy licznych Polaków. A sam przekonałem się w sposób bolesny, że nie mogę odprawić mszy św. po polsku przed cudownym obrazem Matki Bożej Ostrobramskiej. Ówczesny stróż sanktuarium w rozmowie przed mszą św. wyjaśnił mi dobitnie poprawną polszczyzną, że tu jest wolna Litwa i jedyne co mi pozostało: koncelebrować z gorliwym kustoszem w języku litewskim, zupełnie dla mnie niezrozumiałym. „*Matko Najświętsza, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie...*”

Na szczęście nie zawsze i nie wszędzie było tak jak w Kownie czy w Wilnie. Większość ówczesnych proboszczów, którzy zapraszali mnie z posługą duszpasterską, reprezentowali kwiat tamtejszego duchowieństwa na Wschodzie. W pierwszej kolejności trzeba wymienić, urodzonego w Kułaczkowcach koło Kołomyi, ojca **Władysława Rafała Kiernickiego (1912-1995)** we Lwowie – polskiego franciszkanina, biskupa pomocniczego lwowskiego w latach 1991–1995. Pochowany w rzymskokatolickiej katedrze lwowskiej. Absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pracował początkowo m.in. jako wychowawca i wykładowca w Seminarium Duchownym we Lwowie. Pod-



czas okupacji niemieckiej był łącznikiem i kapłanem Armii Krajowej (od października 1939). 24 czerwca 1941 został aresztowany przez NKWD i osadzony u Brygidek. 29 czerwca zbiegł z więzienia, unikając egzekucji podczas akcji wymordowania przez NKWD więźniów politycznych. W 1944 został aresztowany przez NKWD za działalność patriotyczną. Do 1948 był więziony w obozach w Charkowie, Riazaniu, Diagilewie, Czerepowcu i obozie jeńckim NKWD w Griazowcu, po czym otrzymał wyrok pobytu w łagrze. Został z niego zwolniony w 1948 i otrzymał pozwolenie na pracę w katedrze lwowskiej z którą związał resztę życia – 47 lat posługi.

W latach 1949-1958 i 1965-1995 pracował jako proboszcz katedry lwowskiej. W 1958 władze pozbawiły go prawa posługi duszpasterskiej. Utrzymywał się z pracy jako stróż w Parku Stryjskim, tragarz i stróż w sanatorium przeciwgruźlicznym we Lwowie, a potajemnie nadal

we lwowskiej katedrze sprawował posługę kapłańską. Mimo zakazów spowiadał wiernych w bocznych kaplicach katedry lwowskiej lub odprawiał msze św. przy zamkniętych drzwiach w drugim czynnym lwowskim kościele – św. Antoniego oraz w domach prywatnych i szpitalach przy ciężko chorych. W 1965 władze komunistyczne cofnęły zakaz posługi pasterskiej, ale szykanowany przez władzę sowiecką wspomagali potajemnie wiernych i kapłanów zarówno obrządku rzymskokatolickiego, jak i grekokatolickiego. Szczególną opieką otaczał Polaków, którzy mimo przymusu wysiedleńczego pozostali w rodzinnym mieście.

Korzystając z gościnności ojca Rafała wielokrotnie celebrowałem liturgię w katedrze lwowskiej, zawsze wypełnionej wiernymi po brzegi. Uwagę zwracała większościowa obecność grekokatolików, którzy korzystali chętnie z posługi duchownych łańciskich, gdy ich Kościół (od r. 1946) był zdelegalizowany, przez przymusowe przyłączenie do Cerkwi prawosławnej.

4 maja 2012 we lwowskiej katedrze łańciskiej został otwarty jego proces beatyfikacyjny.

Osobiście najbardziej byłem związany z urodzonym w Huciskach koło Tarnopola, ks. **Janem Olszańskim (1919-2003)**, prawdopodobnie marianinem (choć on tego nie twierdził). Po święceniach kapłańskich w dniu 15 listopada 1942 roku był wikariuszem parafii w Kaczanówce, następnie administratorem parafii w Gródku Podolskim, wikariuszem i katechetą w katedrze i parafii Matki Boskiej Śnieżnej we Lwowie. Od 1945 do usunięcia przez sowietów w 1959 sprawował posługę duszpasterską w Gródku Podolskim, po czym został przeniesiony do niewielkiej wsi Manikowce. Pracował tam do 1991.

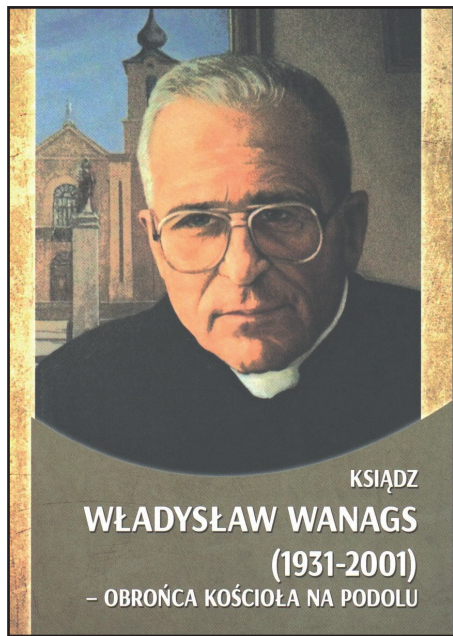


Właśnie podczas jego proboszczowania w Manikowcach zaczęły się moje stałe i zażyłe kontakty z ks. Janem Olszańskim. Przeprowadziłem w jego parafii kilkudniowe „nielegalne” rekolekcje wielkopostne, mając do dyspozycji maleńki kościółek przycementarny. Wierni modlili się zasadniczo na zewnątrz tej kaplicy, trwając na modlitwie niekiedy 2-3 godziny. Bowiemy ćwiczenia rekolekcyjne przebiegały według stałego schematu: msza św. z homilią (25-30 min.) a następnie konferencja rekolekcyjna (45-50 min.). Zawsze, na zakończenie spotkania zabierał głos ks. proboszcz Jan, który – w nawiązaniu do nauki rekolekcyjnej – dodawał własne uzupełnienia (do 40 minut). Ludzie cierpliwie stali na mrozie, niekiedy obsypani obficie śniegiem. Szerzej na ten temat piszę w moich wspomnieniach pt. „Ks. Jan Olszański, jakim go pamiętam” (zob.: „Studia Catholica Podoliae”, Annus VII (2013) Numerus 7, s. 529-533).

Ks. Jan Olszański od 1965 był również duszpasterzem w Kitajgrodzie i okolicy. Jako jeden z nielicznych kapłanów katolickich na tym terenie, z narażeniem życia i w każdej chwili ryzykując deportacją starał się zapewnić opiekę duszpasterską wiernym na prawie połowie terytorium dzisiejszej diecezji kamieniecko-podolskiej.

16 stycznia 1991 został mianowany biskupem kamienieckim. W odrodzonej diecezji erygował Wyższe Seminarium Duchowne w Gródku Podolskim (przez ćwierćwiecze istnienia wydało ono sporo ponad setkę miejscowych kapłanów) oraz wznowił działalność ponad 200 parafii.

Pochowany w podziemiach katedry w Kamieńcu Podolskim, zwróconej wiernym w 1990 roku (w latach 1672-1699, przez okupanta tureckiego przekształcona w meczet a w latach 1946-1990 mieściło się w niej muzeum ateizmu).



Trzeba koniecznie wspomnieć jeszcze człowieka – legendę, Łotysza, księdza **Władysława Wanagsa**, marianina (1931-2001). Niemał 25 lat pracował wśród Polaków na Ukrainie. Dzięki swojej odważnej postawie odzyskał szereg kościołów na Podolu zamienionych w czasach komunistycznych na kluby, restauracje i magazyny. Sam wybudował dziewięć nowych świątyń (najokazalszą w samym Gródku Podolskim).

Nie kościoły jednak były dla niego najważniejsze. Widząc biedę, zwłaszcza okropną sytuację starych ludzi, przystąpił do budowy domów opieki. Uważał bowiem, że w oczach Jezusa ubodzy są na pierwszym miejscu, więc są najważniejsi. Zdobywał subsydia, zbierał ofiary, także w Polsce i rozbudowywał te przytuliska. Ostatnio opiekę nad domami przejęła Caritas diecezjalna.

Bliżej znany mi jest dość okazały, choć oferujący dość skromne warunki,

ki – Dom Miłosierdzia w Gródku Podolskim, w którym zamieszkało 80 starszych osób. Mieści się on w sąsiedztwie Wyższego Seminarium Duchownego, w którym dawałem wykłady z przedmiotów filozoficznych przez kilka lat. Korzystałem kilkakrotnie z pomieszczeń Domu Miłosierdzia, aby przeprowadzić dni skupienia dla sióstr zakonnych z wielu zgromadzeń pracujących na Podolu.

Ks. Władysław Wanags, laureat pierwszej edycji nagrody TOTUS przyznawanej przez kościelną Fundację Dzieło Nowego Tysiąclecia, został pochowany w Gródku Podolskim na Ukrainie.

Do tej, wysoce niekompletnej listy, dołączyć pragnę także wspomnienie o **ks. Janie Śnieżyńskim (1940-2011)**. Urodził się 10 grudnia 1940 roku w Braiłowie, koło Winnicy (Ukraina). Mama pracowała w kolchozie ojciec w sowchozie. W czasach Związku Radzieckiego, po wielkich perypetiach, otrzymał święcenia kapłańskie w Rydze. Najdłużej, bo 25 lat był proboszczem parafii w Tbilisi (Gruzja). Przez ostatnich 10 lat życia był w Polsce, sprawował posługę duszpasterską w sanktuarium w Kałkowie. Chociaż od urodzenia był Polakiem, to dopiero w 2003 roku otrzymał polskie obywatelstwo, z rąk ówczesnej wojewody – Joanny Grzeli.

W okresie mojej pracy w Wyższym Seminarium Duchownym w Siedlcach (1980-1990) właśnie tenże, dotąd nieznan mi kapłan, zwrócił się do ówczesnego ordynariusza siedleckiego, bp Jana Mazura o wskazanie jakiegoś kapłana w okresie wakacji do zastępstwa w Tbilisi i okolicach, aby on, Polak, mógł odwiedzić Polskę, w której nigdy nie był. Bez najmniejszej zwłoki zgłosiłem się na zastępstwo, które trwało prawie dwa miesiące.

Pełna emocji okazała się już sama podróż do Gruzji (via Moskwa). Dobrze zorganizowany i przewidujący, ks. Jan Śnie-

żyński, aby oszczędzić mi kłopotów z przesiadką na lotniska (odległość od lotniska Wnukowo do Szeremietiewo wynosi ok. 50 km) wysłał do Moskwy delegację dwóch studentów, którzy mieli mi towarzyszyć w dalszej podróży do celu i dbać o pożywienie (ja nie dysponowałem rublami). Oczekując na przylot samolotu z Warszawy studenci zrobili pokaźne zakupy w sklepie McDonalds (w innych były podobno pustki), które mieliśmy spożywać podczas lotu. Nic z tego nie wyszło, albowiem przed wejściem do samolotu rozdzielono nas. Ja, jako cudzoziemiec, poddany kontroli specjalnej, wychodziłem z lotniska pierwszy i specjalnym wyjściem przeznaczonym dla cudzoziemców (Выход для иностранцев) i w samolocie dla nas był zarezerwowany odrębny sektor. Pozostali pasażerowie, obywatelnie republik ZSRR, w tym moi gruzińscy opiekunowie – bez miejsc numerowanych – wchodzili w liczbę jaką mógł samolot pomieścić, wraz z bagażem, w którym były najrozmaitsze zakupy, także mniejsze zwierzątka i wszelkie plectwo domowe nieźle rozkrzyczane. Ścisk w samolocie był tak niewyobrażalny, że moi współtowarzysze nie byli w stanie w czasie lotu przepchać się do mnie z pożywieniem. W końcowej części lotu, już nad Tbilisi, nocna burza z błyskawicami i piorunami długo nie pozwalała wylądować na lotnisku w górach o dość krótkim pasie startowym. Emocji nie brakowało, ale miejscowi pasażerowie – przyzwyczajeni do tych warunków – nie robili wrażenia zbytnio zestresowanych. To mi dodawało odwagi.

Nastały dla mnie dni dość egzotycznej pracy wśród ludzi nieznanymi, ale od początku bardzo gościnnymi i serdecznymi. Studencka delegacja z podróży miała nade mną czuwać również podczas nieobecności proboszcza. Jestem ich nadopiekuńczością wzruszony; zaowocowa-

ła ona m.in. tym, że w ostatnią niedzielę mego pobytu w Tbilisi część homilii wygłosiłem po gruzińsku, przy aplauzie wiernych i zdziwieniu proboszcza, który – nieoczekiwanie – podczas nabożeństwa – wszedł do kościoła, ukończywszy swoją podróż powrotną z Polski nieco przed czasem.

Życzliwe podejmowanie polskiego „kapłana-misjonarza” w Gruzji nie było konsekwencją jakichś moich specjalnych predyspozycji. Polonia gruzińska należy do najstarszych na świecie. Wzajemne zainteresowanie obu naszych krajów trwa od ponad 500 lat. Polacy, którzy znaleźli się na Kaukazie, byli głównie zesłańcami politycznymi. Pierwsza ich fala na tzw. ciepłą Syberię dotarła tam już w roku 1794. Byli to przeważnie uczestnicy powstania kościuszkowskiego. Szczególnie duży napływ Polaków nastąpił dopiero po upadku powstania listopadowego i po stłumieniu powstania styczniowego. Oprócz polskich żołnierzy-zesłańców, od lat trzydziestych i czterdziestych XIX wieku do Gruzji przybywali dobrowolni emigranci, przedstawiciele różnych zawodów. Najwięcej było wówczas lekarzy, nauczycieli, urzędników, kupców i ludzi interesu.

Polska jako jedna z pierwszych uznała niepodległość Gruzji. W marcu 1920 roku do Tbilisi przybyła Misja Specjalna RP z wiceministrem spraw zagranicznych Tytusem Filipowiczem na czele. Polski rząd nie uznał aneksji Gruzji dokonanej w 1921 roku przez Rosję sowiecką i utrzymywał kontakty z osiadłym w Paryżu gruzińskim rządem emigracyjnym. Kilkudziesięciu gruzińskich oficerów służyło także w polskim wojsku. Brali udział w wielu operacjach wojskowych, m.in. kampanii wrześniowej i powstaniu warszawskim. Od samego też początku Polacy byli w Gruzji bardzo dobrze przyjmowani. Gruzja była

zawsze krajem bardzo gościnnym, a Polaków darzyła bardzo dużą solidarnością. Oba bowiem nasze narody mają podobne spojrzenie na patriotyzm i podobną historię. To nasze wzajemne współczucie sobie, w dobrym tego słowa znaczeniu, sprawia, że Polacy i Gruzini czują się sobie bardzo bliscy. Wydarzenia współczesne to potwierdzają. Prezydent Lech Kaczyński angażował się po stronie Gruzji w walce o jej niezależność i wdzięczność Gruzinów jest ciągle żywa.

Relacje ks. Jana Śnieżyńskiego z mieszkańcami Tbilisi, w tym z prawosławnym patriarchą Gruzji, były prawdziwie chrześcijańskie, w duchu zdrowego ekumenizmu. Sam mi o tym opowiadał i pokazał piękny krzyż prawosławny z ozdobami, dar patriarchy gruzińskiego w dowód wzajemnej życzliwości i braterskiej miłości. Ja też tego doznawałem na każdym kroku. Pod nieobecność ks. proboszcza, zdany całkowicie na gościnność miejscowej ludności nie zapałem niedostatku ani przez chwilę. W dni powszednie odprawiałem poranną mszę świętą w kościele św. Apostołów Piotra i Pawła (w j. rosyjskim) a po południu – na drugim krańcu Tbilisi – liturgia w Domu Opieki Sióstr Matki Teresy z Kalkuty (po angielsku). Przemierzając całe miasto każdego dnia stawałem się coraz bardziej rozpoznawalny i zapamiętywałem nowe twarze. Do dziś jestem poruszony tą wschodnią uprzejmością i gościnnością, także prawosławnych, którzy tam stanowią przynajmniej większość.

Razu jednego nadmiar gościnności gruzińskiej stał się dla mnie kłopotliwy do granic wytrzymałości. Oto zgłosiła się na plebanię pewna parafianka z informacją o śmierci jej mamy, którą dotąd opiekowała się. Pogrzeb, takie tam wtedy panowały rygory, odbyć się musiał nie w kościele ale w miejscu zamieszkania, w nie-

wielkim mieszkaniu komunalnym bodaj na VIII piętrze. Zgłosiłem się o umówionej godzinie z paramentami liturgicznymi, by odprawić Mszę św. przy trumnie i dokonać obrzędu ostatniego pożegnania. Zostałem w małych pomieszczeniach kilkanaście osób (nie więcej niż 20) z najbliższego otoczenia. Trumna była otwarta według wschodniego zwyczaju. Po zakończeniu ceremonii, gdy ja porządkowałem szaty liturgiczne i księgi, uczestnicy pogrzebu dyskretnie ale sprawnie opuścili mieszkanie. Zostałem ze zmarłą sam w pokoju, bo córka zmarłej w tym czasie wyszła do kuchni i pośpiesznie czyniła jakieś przygotowania. Po chwili wróciła z białą serwetą i kilkoma talerzami. Przy głowie mamy nakryła stół i najwyraźniej czyniła przygotowania do posiłku. Gdy ja, uporządkowawszy walizkę, zbierałem się do wyjścia – zaskoczona parafianka zaprosiła mnie do stołu. Nie byłem pewny czy jestem sposobny do spożywania posiłku w takiej scenerii. W pewnym momencie, nieco zdesperowany zauważyłem, że nie mogę stawiać dalszego oporu; jedyne co uzyskałem to tyle, że głowę zmarłej mamy nakryto chustą. Było to moje mocne, nowe zupełnie doświadczenie. Mama uczestniczyła w ten sposób w uczcie pożegnalnej.

Inny gruziński pogrzeb starszego mężczyzny przewidziany był w odległej wiosce, gdzie zawieziono mnie traktorem po bardzo wyboistej i błotnistej drodze. Cała, bardzo liczna wieś czuwała modlitewnie przy otwartej trumnie nieboszczyka. Uwagę moją zwróciła duża liczba dzieci różnego wieku.

Uroczystości rozpoczęły się od słuchania spowiedzi w sąsiednim pokoju (trwało to ponad godzinę, przy wtórze pięknych pieśni żałobnych). Podczas Mszy św. zauważyłem, że mały chłopczyk około 3-letni chodzi grzecznie wokół

trumny i cały czas spogląda na zmarłego. Wreszcie przystawił sobie do trumny taborecik, po nim wspiął się i usiadł w trumnie na nogach dziadka, a za chwilę w pozycji skulonej zasnął i spał do końca nabożeństwa. Nikt mu w tym nie przeszkadzał i było to coś wspaniałego i jakże odmiennego od tego, co spotykam podczas moich wakacyjnych obowiązków duszpasterskich we Francji, gdzie przed śmiercią wywożą domownika do szpitala, aby nie umierał w domu. A zdarza się, że jeśli ktoś z bliskich umrze w czasie „nieodpowiednim”, to ciało przechowuje się kilka tygodni w chłodni i odkładany jest pogrzeb byleby tylko rodzinie nie przerywać wakacyjnego urlopu. O tempora, o mores!

Ks. Jan Śnieżyński jest pochowany w Polsce, w sanktuarium Bolesnej Królowej Polski w Kałkowie. Kilka lat przed śmiercią odwiedziłem go, ku naszej wspólnej radości. Robił wrażenie człowieka spełnionego i szczęśliwego, że ostatnie lata spędza w Polsce.

Przez ponad ćwierćwiecze opiekował się Kościołem pod wezwaniem świętych Apostołów Piotra i Pawła w Tbilisi wielokrotnie przesłuchiwany, bity i torturowany. Trzykrotnie każdego dnia (byłem tego świadkiem) przychodził do kościoła, stawał u stopni głównego ołtarza i odmawiał modlitwę „*Anioł Pański*”, po dawnemu przyklękając na słowa „*A Słowo Ciąłem się stało i zamieszkało między nami*”. Z niewiadomych przyczyn nigdy nie zamknięto tego Kościoła, jedynej świątyni katolickiej na całym Kaukazie, której drzwi pozostawały otwarte nawet w okresach największych represji.

\*\*\*\*\*

Dzisiaj sytuacja Kościoła katolickiego i katolików na Wschodzie jest odmienna, chociaż problemy istnieją. Inne. Wolność funkcjonowania Kościoła na ogół jest

zapewniona, postępuje porządkowanie struktur kościelnych umożliwiających prawidłową organizację pracy, respektowane jest podstawowe prawo do wyboru religii i wyznania, dzieci i młodzież mają dostęp do posługi religijnej.

Zdarzają się lokalne nadużycia, wynikające np. z wybujałego nacjonalizmu, który katolicyzm chce wiązać nie z powszechnością Kościoła ale z polsnością jedynie. Trwa przepychanka z niektórymi władzami o odzyskanie kościołów i innych obiektów, będących własnością Kościoła katolickiego. Daje się zauważyć także pazerność w przejmowaniu świątyń katolickich przez inne wyznania, bez respektu dla poszanowania cudzej własności. Nie obce jest umyślne manipulowanie opinią publiczną do podsycania wrogości wśród wyznawców jednego Kościoła. Wkład duchowieństwa polskiego w odbudowę życia religijnego na Wschodzie niekoniecznie jest doceniany w stopniu adekwatnym do faktycznie wykonanej pracy apostołskiej. Bolesne jest także pośpieszne i siłowe rugowanie języka polskiego z liturgii, które – wyłącznie dyktowane samowolą miejscowego duchowieństwa – rani serca ludzi starszych, dla których język polski był językiem liturgicznym. Oni przez lata modlili się wyłącznie po polsku (tak Polacy jak i Ukraińcy, Litwini czy Białorusini).

Wszystkie powyższe zastrzeżenia nie mogą jednak przysłonić wielkiego odrodzenia religijnego na Wschodzie. Zapewne wielu misjonarzy bezpośrednio zaangażowanych w duszpasterstwo ma możliwość zaświadczyć o cudzie odnowy. Ja duszpastersko pracowałem okazjonalnie, chociaż od ponad 40 lat, na Litwie, na Ukrainie, na Białorusi, w Gruzji. Praca ta nie była rejestrowana celowo, bo tak wydawało się będzie bezpieczniej i skuteczniej. Takie były czasy.

Od 2011 roku podjąłem systematyczne wykłady z przedmiotów filozoficznych w dwóch Wyższych Seminariach Duchownych, najpierw w Gródku Podolskim (diecezja kamieniecko-podolska) a następnie i w Worzelu (diecezja kijowsko-żytomierska). W tych seminariach diecezjalnych kształcą się także miejscowi klerycy zakonni: misjonarze św. Wincentego à Paulo, oblaci Maryi Niepokalanej, marianie oraz alumni Redemptoris Mater z różnych krajów, przeznaczeni do przyszłej pracy w Ukrainie. Moje wykłady obejmują: wstęp do filozofii, teorię poznania, ogólną metodologię nauk, logikę, historię filozofii. Łącznie około 250 godzin rocznie. Ponadto liczne homilie, kazania, dni skupienia dla sióstr zakonnych, konferencje religijne, czynny udział w sympozjach naukowych. Wszystko to odbywa się obecnie w warunkach skromnych, czasem wręcz ubogich, ale jednak w miarę normalnych (w porównaniu z tym, co było wcześniej). Nie ma utrudnień formalno-prawnych. Raduje się serce gdy – nawet gołym okiem widać – jak my, ludzie, z Bożą pomocą czynimy ewangeliczny zasiew a sam Pan daje wzrost.

**ks. Ryszard Stanisław Borkowski**



## Dziedzictwo - Спадщина

WIDOK Z LIPY  
– MIŁOŚĆ I NIENAWIŚĆ

Bohaterami tej opowieści są dwie rodziny polska i ukraińska, która od swoich doznała okrucieństwa, co jest trudne do zrozumienia dla trzeźwo myślącego człowieka. Jest tu przedstawione współzycie obok siebie bliźnich różnych narodowości, rodzinnym ekumenizmie, rodzinnej miłości, a także nienawiści zrodzonej ze ślepej, bezmyślnej, nacjonalistycznej demagogii. W bliskiej odległości od naszych Podhajec leżała wieś Zawale. Mieszkała w niej rodzina mojej babci Pauliny Czyżewskiej. Wujek Stanisław Grabowski owdowiał, gdy najmłodsza córeczka Marysia ukończyła 3 latka. Półsierotami pozostali też dwaj synowie 17 letni Jan i 12 letni Antek. Wujek był, w okolicy, ogólnie szanowanym gospodarzem. Ukończył szkołę rolniczą i prowadził wzorowe gospodarstwo. Z jego porad rolniczych korzystało wielu sąsiadów. Podobnie jak mój dziadzio miał świetne maszyny rolnicze czeskiej produkcji, zakupione w Równem. Użyczał ich swoim polskim i ukraińskim znajomym. Zabudowania wujka znajdowały się w pewnym oddaleniu od wsi, a przez miedzę graniczyły z gospodarstwem Semena, pół-Polaka, pół-Ukraińca. Sąsiedzi żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni, bardzo się wspierali, pomagając sobie nawzajem. Podobnie jak Grabowscy, Semenowie mieli też troje dzieci. Najstarszego Wołodę – 22 lata, 19-letnią Michalinę i najmłodszego 15-latkę Ihora. Po śmierci cici, Malwiny Grabowskiej, sąsiedzi stali się jedną rodziną. Nastia, żona Semena, była bardzo dobrą i szlachetną kobietą. Szczególna opieka

otoczyła małą Marysię. Dzieci sąsiadów też bardzo „przywiązały się” do siebie. Objawiało się to szczególnie pomiędzy Michaliną i Jankiem. Synowie obydwu gospodarzy wykonywali różne prace gospodarskie i polowe, a gospodyni z córką dbały o wikt i opierunek. Babcia Semena, Pola, była Polką, a dziadek Ukraińcem, dobrym i bardzo tolerancyjnym człowiekiem. On prawosławny, ona katoliczka stworzyli bardzo szczęśliwą rodzinę, dając tym przykład, że relacje międzyludzkie mogą być jak najbardziej poprawne bez względu na różne narodowości i wyznawaną wiarę. Ich córka Maria, jedynaczka, została ochrzczona w kościele, a jej wychowaniem zajmowała się matka Pola, kobieta prosta, ale obdarzona wielką mądrością życiową. Maria poślubiła Ukraińca Semena, katolika, co było, na Wołyniu, raczej rzadkością. W takiej to katolickiej rodzinie był wychowany sąsiad wujka Stanisława. Bardzo duży wpływ na wychowanie wnuka miała babcia Pola, przekazując mu wiele wiadomości z naszej chlubnej historii. Semen mówił pięknie po polsku i oczywiście po ukraińsku, ale bardziej czuł się Polakiem. Ożenił się z Nastią Ukrainką, prawosławnego wyznania, ale te dwie różne religie nie kolidowały ze sobą. Nie wiem gdzie chrzczone były ich dzieci. Ale jak wynika z nadanych dzieciom imion, chłopcy byli prawdopodobnie ochrzczeni w cerkwi, bo Wołodzia i Ihor to imiona ukraińskie, a Michalinę, można było spotkać w wielu polskich rodzinach. W domu panował ekumenizm. Na ścianach wisiały, obok

siebie, obrazy katolickie i prawosławne ikony, malowane na deskach, przyozdobione haftowanymi ręcznikami. Rodzina uczestniczyła w nabożeństwach zarówno w cerkwi jak i kościele. Obchodzono też podwójne Święta Bożonarodzeniowe i Wielkanocne. Dzieci wzrastały w domu pełnym miłości, szlachetności, szacunku do bliźnich i wielkim poczuciu obowiązku. W tej rodzinie Bóg i honor były na pierwszym miejscu. Janek z Ihorem byli nierozłączni. Przy domu Grabowskich rosła wysoka, rozłożysta lipa. Chłopcy mieli różne pomysły, a jeden z nich dotyczył właśnie tego drzewa. Wśród gęstego listowia zbudowali z desek platformę, na której często przebywali. Ojcowie nie byli z tego zadowoleni, ale nie przypuszczali, że ten ukryty wśród konarów podest, w przyszłości, uratuje komuś życie. A ono toczyło się nadal swoim rytmem. Przyjaźń trwała. Nie przerwała jej nawet napaść na Wołyń sowietów, którzy „rzucili” między Polaków i Ukraińców iskrę niezgody, ale to nie wpłynęło na międzysąsiedzkie odniesienia przyjaciół. Po półtorarocznej okupacji wołyńskiej Krainy, sowioci uciekli. Przyszli Niemcy. Za ich bytności, na Wołyniu, odbywały się „dantejskie sceny”. W bardzo wielu wsiach ginęli okrutnie mordowani Polacy. Płonęły domy i całe polskie wsie. Nikt nie potrafił przewidywać, która miejscowość znajdzie się „na celowniku” banderowców. Zmierzało, Rodzina Grabowskich siedziała przy kuchennym stole. Brakowało Antka. Nagle do kuchni wpadła zziębnięta, czerwona jak upiór młoda Ukrainka ze wsi i krzyczała: („*Pane Grabowski! Witajcie. Idut was i Semena morduwaty*”) („*Panie Grabowski! Uciekajcie. Idą was i Semena mordować*”). Po tych słowach szybko zniknęła, tak jak się pojawiła. Ojciec stanął na progu i krzyknął: „*Antek, złaż z drzewa i uciekaj do ogrodu, nie wchodź do domu przez*

*strych*”. Wujek, zostawiwszy w ogrodowych krzakach Janka z Marysią, pognął do Semena, który znał już przestrożę dziewczyny, ale nie chciał w to uwierzyć, że jego rodacy przyjdą ich mordować. Żona i dzieci (brakowało Wołodii) zachowały się bardzo rozsądnie. Przekonali ojca o konieczności natychmiastowego opuszczenia domu. Posłuchał rodziny, ale nie miał zamiaru zbytnio się od niego oddalać. Domostwa przyjaciół otaczały łąny dorodnych zbóż, a na szerokich miedzach rosły najczęściej krzewy kolącej tarniny, rodzącej ciemnoniebieskie, cierpkie, owoce zwane tarkami. Czasem też rosły na zielonych miedzach, lub obok nich samotne brzozy-płaczki, lub grusze. Taka grusza „*oblepiona*” małymi owocami tzw. ulęgawkami, stała na wprost domu Grabowskich, dosłownie na rzut kamieniem, tzn. bardzo blisko. Tutaj postanowili urządzić swój punkt obserwacyjny. Ale było już późno i nic nie było widać. Antek znajdował się na platformie, a usłyszawszy wołanie ojca bardzo się zdziwił jego treścią. Pomyślał: „*Dlaczego nie może wejść do domu przez strych, a ma uciekać prosto do ogrodu?*”. Nic z tego nie rozumiał. Nie zareagował od razu na te słowa i dopiero po pewnym czasie zaczął ostrożnie schodzić z drzewa, na które też zawsze wchodził powoli. Jeden z grubych konarów dotykał ściany domu. Żeby do niego wejść, wystarczyło otworzyć drzwiczki na strych, przemyślnie zamykane, z obu stron, drewnianym kołkiem. Antek już dotykał tego kołka, gdy nagle zza drzwiczek dobiegły go ukraińskie głosy. Później Antoś opowiadał, że nie wie jak to się stało, ale w błyskawicznym tempie znalazł się wśród gęstego listowia. Ta „*perszingowość*” była bardzo wskazana, gdyż bandyta wyrzwał na zewnątrz, ale niczego nie zauważywszy opuścił strych. Na gruszy siedzieli Wujek z Semenem, a

matka z Michaliną, Marysią, Ihronem i Jankiem „zaszyli się” w krzakach rosnących na miedzy. Wujek martwił się nieobecnością Antka. Panowała wokół niczym nie zmałona cisza, którą przerwały głosy dochodzące od strony domu Semenana. Coś im nie powiodło się, bo głośno klęli i komuś złorzeczyli. Wśród tych głosów wybijał się szczególnie jeden. Był on dla wujka jakby znany, ale zaraz odrzucił tę myśl jako wielce niedorzeczną. W pewnej chwili Semen rzekł: „*O! Jezu!*” zachwiał się i byłby spadł z drzewa, gdyby go wujek nie podtrzymał. Banderowcy weszli do domu Grabowskich. Wybili szyby w oknach. Strasznie klęli. Słychać było jak mścili się na domowych sprzętach. Ich złość potęgowało jeszcze to, że nie mogli skutecznie swojego krwawego rytuału, gdyż nie zastali swoich niedoszłych ofiar w domu. Wreszcie wyszli na podwórze. Do uszu uciekinierów dobiegły słowa, że część z nich wraca do lasu, a kilku miało pozostać, aby przydybać (spotkać) Lachów i Semenana. Wówczas „*otworzyły mu się oczy*”, z których popłynęły łzy, a szloch trząsał całym ciałem. Antoś w ciemnościach niczego nie mógł dojrzeć, ale czujne ucho chłopca wylapywało każdy szmer. Pod lipą stała ławka. Antoś słyszał jak po naradzeniu się, bardzo pewni siebie rezuny, opierali o nią swoją broń. W pobliżu stodoły rozpalili ognisko. Przynieśli z kurnika kilka kur, którym ukrecili łby i obtoczyli drób gliną, przygotowaną do lepienia garnków. Wrzucili drób do ogniska, a potem przynieśli długi drewniany bal i umiejscowili go przy ognisku. Siedzieli na nim odwróceniem pleców do drzewa. Wyglądało na to, że boją się ciemności, gdyż często dokładali dREW do ogniska. Ognisko nie było z drogi widoczne, ale bezrozumni ludzie nie pomyśleli, że bije od niego blask, który może być sygnałem ostrzegawczym. Znamy powiedzenie:

„*Gdy Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbierze*”. Rzeczywiście tym ludziom odebrał całkowicie, a oni jeszcze pozbawili się go sami pociągając z butelki z ognistym płynem. Ognisko płonęło, dzięki czemu widoczność była bardzo dobra. Siedzący na gruszy dokładnie widzieli ich twarze, a Semen bez przerwy powtarzał: „*Jezu! Jezu!...*” Później okazało się, że wśród siedzących na kłodzie, zobaczył swojego bliskiego kuzyna – Ukrainca. Antek siedział cichutko, jak „*mysz pod miotłą*”. Nagle do jego uszu dotarł cichy szmer, który dobiegał z dołu. Pomimo liściastej gęstwiny, jego bystry wzrok, zauważył kogoś przesuwanego się wśród krzewów i kwiatów, oświetlonych blaskiem ogniska. Człowiek dotarł do ławki wziął jeden z karabinów i przyczaił się za drzewem. Biesiadnicy odwróceniem plecami do przybyłego, posilając się i pociągając z butelki wspominali, przy rubasznych śmiechach, swoje „*wyczyny*” z dokonanych mordów. Słuchali tego wszyscy ukryci w cieniu, a także i nowoprzybyły, który nie mogąc chyba tego już dłużej słuchać, nagle wyskoczył zza lipy i wygarnął, jak się okazało z karabinu masynowego do czterech niczego nie spodziewających się bandziorów. Przy tym, jak w malinie (gorączce) wielokrotnie powtarzał: „*Wy proklatyji rezuny. Hady*” („*Wy przekłete rezuny. Żmije*”). Odciągnął zabitych pod płot, a sam usiadł na kłodzie i głośno płakał. Był to, znany uciekinierom, Ukrainiec z Zawala. „*Mściciel*” jakiś czas, siedział przy ognisku następnie zgasił go i odszedł. Ukryci na gruszy nie zdradzili swojej obecności. Uciekinierzy poczuli się bezpiecznie. Przed zejściem z drzewa Semen wyjaśnił wujkowi, dlaczego krzyknął „*O! Jezu!*”, gdy usłyszał jakiś głos. Okazało się, że należał on do jego 22-letniego syna Wołodii, który przyłączył się do banderowców. W czasie każ-



dego jego pobytu w domu, gdy nie słyszała tego matka, ojciec bardzo krytycznie odnosił się do poczynań banderowców, co najwyraźniej, nie podobało się młodemu człowiekowi. Semen prosił wujka o zachowanie tajemnicy, aby żona nie dowiedziała się strasznej prawdy. Wujkowi też wydawało się, że rozpoznaje głos chłopaka, ale uznał to za niemożliwe. Po zejściu z drzewa i przywołaniu Antka, przyłączyli się do rodziny. Uciekli z domu tak jak stali. Tylko Nastia miała przy sobie jakieś zawiniątko. Wujek z Jankiem postanowili wrócić do domu po ubrania. Było jednak bardzo trudno znaleźć coś po ciemku, a bali się zapalić lampę naftową. Czekala ich długa i niebezpieczna droga do miasta. Noce były chłodne. Zamiast ubrań, zabrali koce i kapy, które ochronią od zimna. Byli w pokoju, którego okna wychodziły na sad. Nagle usłyszeli dochodzące od strony podwórza ukraińskie głosy. Zdążyli wyskoczyć oknem. Przedzierając się przez sad dołączyli do rodziny ukrytej na miedzy. Tu do ich uszu doleciały przekleństwa i krzyki przechodzące w zwierzęcy ryk, odnaleźli zabitych. Posypały się strzały. Bandyci wyprowadzili ze stajni dwa konie, zaprzęgli do wozu, ułożyli na nim zabitych i odjechali, ale nie wszyscy. Kilku zostało, aby dokonać zniszczenia. Mrok nocy rozjaśniło światło kilku lamp naftowych. Rzucone do domu spowodowały jego pożar, aby lepiej się paliło wrzucili do jego wnętrza snopy słomy i drwa przygotowane na opał. Polacy znali ich poczynania. Palili wszystko. Także zabudowania ze znajdującymi się wewnątrz zwierzętami. Obejście wujka lśniło czystością. Żadne ze zwierząt nie wchodziło na podwórze. Obora, stajnia i stodoła miały podwójne wejście, od podwórza i od pola. Konie były bezpieczne. Pozostały trzy krowy, które należało uratować. Obora była blisko. Janek otworzył tylne wrota

i wypędził bydło. Pozostał jeszcze chlew, w którym były świnie. Wejście było od podwórza i nie było możliwości ich uwolnienia, chyba, że zrobili to sami podpalacze. Wujek nie miał psa, gdyż uważał, że trzymanie psa na łańcuchu jest wielce niehumanitarne. Żał było gospodarzowi cennych maszyn rolniczych stojących pod wiatą, obok stodoły. Ale nie ważne były teraz rzeczy materialne, najważniejsze to uratować życie! Uciekinierzy dłużej nie czekali. Ruszyli przed siebie, nie zdając sobie sprawy z koszmaru czekającej ich nocy. Szli przez łąny zbóż, w których ukryci, słyszeli obok głosy banderowców. Najniebezpieczniejsza marszruta prowadziła przez las. Przy każdym szmerze zalegali w krzakach, a nawet czołgali się. Na szczęście nie napotkali w lesie wrogów. Bardzo zmęczeni, zziębnięci, przemoczeni rosą i zestresowani dotarli do łuckiego przedmieścia Krasne. Tutaj zamieszkali w jakimś zaułku, w pożydowskim domu. Po obu stronach długiego korytarza były mieszkania. Po lewej zamieszkali Grabowscy, a prawa strona należała do Semenów. W centrum Łucka mieszkała siostra wujka. Pewnego razu wujek z Semenami spotkali na ulicy „*mściciela*” z żoną i kilkuletnią dziewczynką. Wszyscy znali doskonale historię ich życia. Przystojny młody Ukrainiec wybrał siebie na towarzyszkę życia Polkę, z sąsiedniej wsi. Rodzina przyjęła to z wielkim oburzeniem i starała się w każdy możliwy sposób ich rozdzielić. Parokrotnie mieli taką okazję. Małżeństwo było bezdzietne. Ich troje dzieci zmarło wkrótce po narodzeniu. Starali się przekonać niedosłęgo ojca, że żona jest czarownicą i należy ją zostawić. Niestety ponieśli porażkę. Prawdziwe uczucie, jakim darzył swoją małżonkę, zwyciężyło. Niebawem miał zdać „egzamin” z tej wierności. Gdy rozszalała się nacjonalistyczna gehenna,

Ukrainiec i Ukrainka będący w mieszanym związku, mieli nakaz uśmiercenia swoich polskich współmałżonków. Byli tacy, którzy podporządkowali się tej zbrodniczej ideologii. Oczywiście tego nie wykonał. Nocą uciekli do Łucka. Oboje niepokoił się o rodziców. Teściowie „mściciela” mieszkali w niedalekiej, od Zawala, wiosce. Żona pozostała w Łucku, a on postanowił ratować teściów. Wyruszył przed wieczorem z miasta, nocą dotarł do ich domu, a raczej do jego zgłiszczy i już nieżyjących małżonków. Było to dla poczciwego człowieka wielkie przeżycie. Wracając przechodził niedaleko od domu Grabowskich, a zauważywszy blask bijący z podwórza, zainteresował się tym. Straszny żal, złość i ból, które się w nim nagromadziły, a też i przechwałki reżonów z dokonanych mordów, spowodowały, że i sam dopuścił się zbrodni. Opuścił podwórze, ale wychodząc na drogę zauważył, w oddali, zbliżających się ludzi. Ukrył się w krzakach rosnących przy drodze. Idący drogą, widocznie zdrożeni, usiedli blisko, na rowie, prowadząc rozmowę po ukraińsku. Niewidoczny świadek rozpoznał znajome głosy. Ze śmiechem mówili jak to sobie „zatańczą” z Grabowskimi i jego sąsiadami. Siedzieli dosyć długo, a on tak bardzo pragnął, żeby już odeszli. Nie mógł się ruszać, aby nie zdradzić swojej obecności, a siedząc w kucki dość długo, bez ruchu, miał zdrętwiałe nogi. Wreszcie odeszli i skierowali się na podwórze. Był ciekaw co też będą robić, więc obserwował ich zza drzewa. Nagle usłyszał przekleństwa i niesamowity wrzask. Świecąc latarkami odkryli zabitych. Jeden z bandytów zaczął strzelać na oślep. Słyszał jak od drzewa odbija się kula, padł na ziemię. Strzelanina ustała. Po ułożeniu zabitych na wozie odjechali, a pozostali podpaliли dom. Z ich rozmów wynikało, że to samo spotka zabudowania

Semenów. A on często ich i Grabowskich odwiedzał. Semen był dobrym gospodarzem. Miał piękne konie, kilka krów, stado owiec, hodowlane świnię, trudnił się ich sprzedażą i różne rodzaje drobiu. Żal się zrobiło młodemu człowiekowi chudo-by, która miała być żywcem spalona. Banda była zajęta niszczeniem zabudowań wujka, a on gdy dotarł do gospodarstwa Semena stwierdził, z wielką ulgą, że niczego już nie musi ratować, gdyż wszystko zostało z budynków „wybebeszone”. Z pewnością inni Ukraińcy znali zamiary banderowców, dlatego też wyprzedzili ich, zabierając cały żywy inwentarz. Mściciel jeszcze nie odchodził. Doczekał się widoku palącego się domu, zabudowań i dopiero wtedy wyruszył w powrotną drogę do Łucka. Opowiedział też o losie, jaki spotkał siostrę jego żony. Pięcioletnia dziewczynka była jej siostrzenicą. Siostra mieszkała we wsi Borzemiec, też niedaleko. Podczas bandyckiego napadu, część mieszkańców zdołała się uratować, uciekając w pola. Nie mieli już gdzie wracać. Wszystko było spalone, ale wrócili, aby pozbierać i pochować zamordowanych. Natrafili na okrutnie zamęczoną siostrę, a obok niej cała zakrwawiona spała jej mała córeczka. Bardzo się dziwili, jak to dziecko przeżyło? Niezbadane są wyroki Boże. Jednych ratują, inni muszą żegnać się z życiem. Pewnego dnia Michalina, Janek i chłopcy wybrali się na noc do łuckiej rodziny. Rodzice młodych ludzi i wujek z małą Marysią pozostali w domu. Zaczynało zmierzchać. Stanisław z sześciolletnią córeczką stali przy oknie i patrzyli na ulicę. Nagle zza zakrętu (dom stał na rogu ulicy) wyszli Semenowie, a z nimi syn Wołodia. Ojciec z synem zostali przed furtką, a matka weszła do domu i przyniosła jakieś zawiniątko, które podała synowi. Cała trójka zniknęła za rogiem ulicy. Zbyt długa nieobecność sąsiadów zanie-

pokoła wujka. Postanowił to sprawdzić. Znając jednak życiowe niespodzianki bał się iść sam, dlatego też zwrócił się do mieszkających obok polaków i w czwórce udali się na poszukiwania. Za zakrętem rósł młody las. Nie uszli daleko, ale zaparło im dech w piersiach, gdy zobaczyli siedzącą pod drzewem żonę Semena. Trzymała na swoich nogach głowę męża. Już nie żył. Kobieta przez łzy, powtarzała: „*Wołodia! Wołodia! Coś ty zrobił?*”. Dwaj sąsiedzi oddalili się. Przynieśli dwa koce, na których ułożyli ciało Semena. Okoliczni sąsiedzi z długich łąw nakrytych makatami urządzili katafalk, wokół którego znalazły się kwiaty i płonące świece, a ciszą wypełniły modlitwy za zmarłych. Nastia, gdy trochę ochłonęła opowiedziała co się wydarzyło. Przed opuszczeniem swojej chaty zdążyła jeszcze zabrać kasetkę ze złotem. Idąc z mężem ulicą Krasnego spotkali Wołodię. Serdecznie przywitał się z rodzicami i był bardzo miły. Mówił, że potrzebuje pieniędzy, więc matka, jak to matka, oddała mu wszystko złoto. zaproponował wspólny spacer, a gdy znaleźli się na odludziu zmienił się nie do poznania. Stał się bardzo arogancki w stosunku do ojca. Zapamiętała słowa: „*W imieniu Ukraińskiej Powstańczej Armii, za zdradę narodu ukraińskiego*”. Następnie syn strzelił do ojca ze słowami: „*Nie zabiję cię, ty lacka świnię. Giń w męczarniach*”. Ojciec upadł ciężko dysząc. Matka stała, jak sparaliżowana. Dopiero teraz dotarło do niej kim stał się jej ukochany syn. Czekwała na swoją kolej, ale Wołodia rzekł: „*Ciebie nie zabiję, bo jesteś Ukrainką z krwi i kości, ale Michalinę i Ihora dopadnę, bo w nich płynie lacka krew i dodał po ukraińsku. Wsich Lachiw bude mo ryzaty (Wszystkich Lachów będziemy rżnąć)*”. Po tych słowach odszedł. Biedak zapomniał, że taka sama krew lacka płynie też w jego żyłach. Nastia usiadła na

ziemi. Oparta plecami o drzewo trzymała na swoich udach głowę męża. Żył jeszcze, ale widać było, że bardzo się męczy, bardzo ciężko oddychał. Na jasnej koszuli, na piersiach, powiększała się plama krwi. Krew buchnęła ustami. Otworzył nieprzytomne oczy, aby zamknąć je na zawsze. Skonał. Żona siedziała jak skamieniała. Nie mogła uwierzyć w to co się stało. Jej syn, jej ukochany syn, dopuścił się takiej strasznej zbrodni, a przecież był tak dobrze wychowany w szacunku do rodziców i innych ludzi. Ten młody człowiek zaprzepaścił te wartościowe cechy zachowania, gdy zetknął się z demagogią nacjonalistyczną. Ludźmi spod znaku tryzuba, którzy zamknęli swoje serca dla miłości, wygnali zeń wszelką litość, pogrzebali miłosierdzie. Twarde jak krzemień skalesy stały się ich serca. Był to straszny okres, gdy człowiek człowiekowi był wilkiem. Stanisław jakby obdarzony szóstym zmysłem, przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo czając się w ciemnościach. Do uszu zgromadzonych doleciał warkot samochodu, który zatrzymał się niedaleko od domu. Wujek poszedł z dwoma sąsiadami i wśród trzech niemieckich żołnierzy spotkał swojego znajomego. Przedstawił mu zaistniałą sytuację, zaznaczając, że obawia się napadu banderowców. Okazało się Niemcy też mają ich dość. Odprowadzili samochód dalej, a sami dobrze uzbrojeni przyłączyli się do Polaków. Wołodia „*przy jednym ogniu*” chciał upiec „*dwie pieczenie*”. Z pewnością obserwował zachowanie domowników, a takie zgromadzenie w jednym miejscu nieuzbrojonych Lachów, stwarzało możliwość ich całkowitego unicestwienia. Przez otwarte okna płynęły w dal słowa modlitwy i nabożnych pieśni. Była to prowokacja – pomysł jednego z Niemców, ale strzałem w dziesiątkę okazała się jego rada, aby ucichły modlitwy, zgasły świece, ale okno pozostało otwarte.

Zebrani przy katafalku przeszli w głąb budynku, a w pokoju pozostali jedynie Niemcy, Stanisław i kilka osób. Nie trzeba było długo czekać. Była bardzo jasna, księżycowa noc. Z cienia wynurzyło się kilku banderowców, zbliżających się do domu. Jeden z nich, trzymając w dłoni pistolet, bardzo pewny swojej zbrojnej przewagi, gramolił się przez okno. Wszedł do pokoju. Oświetlony księżycową poświatą był bardzo dobrze widoczny na tle okna. Nie przewidział, że w głębi czai się śmierć. Padły strzały, zwalające go na podłogę. Temu upadkowi towarzyszył też niesamowity huk, jakby coś twardego walnęło o podłogę. Niemcy doskoczyli do okna i posłali w ciemność trochę kulek. Usłyszeli przekleństwa i okrzyki bólu. I wszystko uciechło banderowcy uciekli, a ten leżący na wznak na podłodze okazał się dobrym znajomym. Był to Wołodia. Wujek z lataką pochylał się nad rannym broczącym obficie krwią. Nastia zbliżyła się. Uklękła przy synu. Nie mogła wymówić słowa. Po jakimś czasie odezwała się: „*Wołodia, Wołodia, dlaczego?*” Syn był ciężko ranny, ale jeszcze przytomny. Chrapliwym głosem odpowiedział: „*Nie mogłem. Musiałem. Wybacz*”. Matka trzymała w swoich dłoniach rękę syna, nagle ta ręka drgnęła i przy słowach: „*Módl się za*” – Wołodia skończył życie. Nastia przytuliła kainową rękę do swoich warg, a jej gorące łzy po niej spływające, jakby obmywały z popełnionego grzechu ojcobójstwa. Jej cicha do tej pory boleść, dała wreszcie ujście żalowi, który bólem rozrywał jej matczyne serce i głośny płacz rozległ się w pokoju. Wtórowało temu wielu zgromadzonych. Nastia powoli uspokajała się, a potem kłęcząc zaczęła się głośno modlić. Odmawiając „*Ojcie nasz*”, przy słowach „*Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*”, zawahała się, ale tylko na ułamek sekundy. Po modlitwie, na polecenie matki, syna umieszczono obok ojca, co nie podo-

bało się niektórym z obecnych. Nastia stwierdziła, że Jezus przebaczył swoim oprawcom, a my wierzący w Boga, nie możemy też postąpić inaczej. Gdy się rozwidniło wojskowi sprawdzili obejście domu i stwierdzili, że ranili bandytę, a świadczyły o tym plamy krwi. Młodzież wróciła z miasta. Ich rozpacz była nie do opisania. Rozdzierała serca na to patrzących. Do przywiezionych trumien złożono ciała. Przybyły ksiądz odprawił modlitwy i pogrzebowy kondukt wyruszył na cmentarz. Tu, na nieboszczyków, czekał tylko jeden wykopany dół. Początkowo dzieci Semena były bardzo z tego niezadowolone, ale uszanowały wolę matki. I tak to w jednym grobie spoczął ojciec ze swoim wyrodnym synem. Opowiadanie swoje zakończył pointą: „*Przysłowia, które są mądrością narodów*” – są tu jak najbardziej czytelne: „*Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy*” – w tej sytuacji nie każał długo czekać. Druga sentencja: „*Kto mieczem wojuje od miecza ginie*” – okazało się świętą prawdą. Przedstawiłam w opowieści różne rodzaje miłości, w tym miłość przebaczącą, o czym nie wolno nam zapominać w naszym ziemskim życiu. Pozostało jeszcze coś do wyjaśnienia ten niesamowity huk towarzyszący upadkowi na podłogę Wołodi, był spowodowany uderzeniem o podłogę drewnianej kasetki ze złotem, którą miał w torbie morderca. Jeden ze zgromadzonych w pokoju, okazał się członkiem Placówki Samoobrony. Dobrze znał mentalność nacjonalistów. Wyjaśnił co mogły znaczyć słowa: „*Nie mogłem. Musiałem*”. Prawdopodobnie, aby wykazać się i udowodnić, że jest „*godny*” przystąpić do bandy, otrzymał zadanie zamordowania swojego ojca pół-Polaka, pół-Ukraińca.

*Danuta Siwiec*



**Написали до нас** - Написали до нас

# WOŁYŃSKIE (I NIE TYLKO) WĄTKI WSPOMNIENI OCALONYCH OD ZAPOMNIENIA. KANONIER ZYGMUNT OLESZCZUK (1922-1944)

Z nieukrywanym wzruszeniem spoglądam oto na starą fotografię o formacie 8,5x5,5 cm (wraz z ząbkowaniem), wklejoną do poślódkiego zeszytu w linię o zwykłym formacie A-5 liczącego ogółem 129 ponumerowanych stron. Zawiera on kopię „Wspomnień własnych/ kanoniera Zygmunta Oleszczuka/ lata 1939-1944” (taki tytuł na początku, s. 1), obejmujących 115 stron rękopisu. Pierwsze 10 stron zajmuje część jakby retrospektywna – „pamiętnikarska”, bardziej ogólnej natury. Następnie wspomnienia nabierają charakteru quasi-dziennika („Marzec 1940”, s. 11), by wreszcie przyjąć pełną jego formę („29 marca 1942 rok”, s. 51) – i odtąd w tekście pojawiają się niemal regularne zapisy dzienne. Sugerować się to wydaje prawdopodobieństwo, iż wtedy właśnie – przy zasadniczej odmianie dotychczasowych losów – zaczął dopiero Autor pisać swe wspomnienia. Urywają się one na dniu „7 maja [1944 r.] Niedziela” (s. 115). Na kolejnych stronach (116-125) pomieszczono 6 wierszy Autora z lat 1943-1944, sygnowanych podpisem „Tu-ja”. Ponad stroną (126-127) obejmuje następnie list Stanisława Kwiatkowskiego, zapewne kolegi Autora z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – adresowany do jego krewnej NN i NI (w odpowiedzi na jej list), zawierający opis okoliczności bohaterskiej śmierci



**Kanonier Zygmunt Oleszczuk**

ci i pochówku Autora. Datowany jest „25. IV.45 r.” lecz dopisek „Otrzymano 5 III 49” świadczy, że do Kraju dotarł dopiero wtedy (jaką drogą?) – być może wraz z rzeczoną na wstępie fotografią i wspomnieniami w oryginale. Ostatnie strony rękopisu (127-129) zawierają tekst wiersza „Zgasł jak gwiazdka”, który dedykowała pośmiertnie pamięci Autora „Współczująca Rodzinie – koleżanka ze szkolnej ławy ś.p. Zygmunta: Helena Ciołek”.

Na wewnętrznej (II.) stronie okładki zeszytu znajduje się zapis (tym samym charakterem pisma) treści następującej: „*Wł.[-asność] Stanisław Wozakowski, Małochwiej Mały 42?*”.

To właśnie zamieszkała w Chełmie córka owego (nieżyjącego już niestety) pierwotnego właściciela kopii – p. Ewa Milaszkiwicz z domu Wozakowska – udostępniła mi do wglądu i ewentualnej publikacji rzeczzone wspomnienia, wraz ze zdjęciem Autora. Według zapamiętanej przez Nią opowieści Taty oryginał dotarł do rodziny Bohatera, zamieszkałej wówczas w pobliskiej wsi Małochwiej Duży sąsiedniego pow. krasnostawskiego. Jego ojciec usiłował rzekomo doprowadzić do publikacji wspomnień w Warszawie – bezskutecznie jednak w tamtym, stalinowskim okresie wzmożonego terroru komunistycznego. Potem oryginalnym ich tekstem bawiły się już tylko dzieci. Poniewieraną pamiątkę po Bohaterze ocalił od zapomnienia właśnie ojciec pani Ewy, który własnoręcznie skopiował w porę oryginał, prawdopodobnie w 1 poł. lat 50. XX w. Mimo osobistego Jej – po rozmowie ze mną – zaangażowania w sprawę okazuje się, iż wszelki ślad po rodzinie Autora i oryginalnym tekście jego wspomnień (na dzień dzisiejszy jedynie?) urywa się...

Prosty język niezbyt wykształconego, młodego wiekiem Autora, przy jego wąskim stosunkowo spektrum umysłowym – rzutującym niewątpliwie na subiektywizm ocen otaczającej go rzeczywistości oraz rozwijających się w czasie i przestrzeni wydarzeń – potwierdza jednakże, jak się wydaje, autentyczność napisanych przezeń (unikalnych skądinąd) wspomnień. Paradoksalnie też poniekąd podnosi ich walor jako cennego przyczynkarskiego źródła historycznego, podlegającego oczywiście potencjalnie – jak wszystkie inne – hermeneutyce (krytyce) i ana-

lizie w procesie badania naukowego, zakończonego ewentualnie w przyszłości syntetycznym opracowaniem opartym na szerszej bazie źródłowej i osadzonym w kontekście bardziej ogólnym.

Pozostaje jeszcze cała sfera emocjonalna, którą tchną wspomnienia szczerego i wrażliwego Polaka-patrioty z osobowością prawie (z powodu IV. rozbioru państwa) do końca ukształtowaną przez wychowanie w realiach niepodległej – choć nie zawsze, przynajmniej, sprawiedliwej dla swych najszlachetniejszych synów – II. Rzeczypospolitej. W te jednak, jakże bogate pokłady ducha – stanowiące najgłębsze przesłanie pośmiertne Autora – szanowni Czytelnicy winni już zagłębić się sami...

\* \* \*

Zygmunt Oleszczuk urodził się we wsi Uher pow. chełmskiego woj. lubelskiego w 1922 roku. Przed wybuchem II. wojny światowej znalazł się w okolicach Krzemieńca na Wołyniu (obecnie miasto rejonowe w obwodzie tarnopolskim Ukrainy), gdzie już wkrótce dane mu było jako uczniowi (!) doświadczyć represji sowieckich – następnie także w głębi syberyjskiego, azjatyckiego interioru ZSRS.

Będąc żołnierzem II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech zginął w wieku 22. lat bohaterską śmiercią 15 grudnia 1944 r. – w wyniku odniesionych ciężkich ran z karabinu maszynowego, mimo natychmiastowej pomocy medycznej – w trakcie ewakuacji z pola bitwy nad rzeką Siutni, koło miasteczka Brisighella, około 8 km na pn.-zach. od miasta Facuza. Pochowany został nazajutrz na cmentarzu cywilnym w Brisighelli. Pośmiertnie odznaczony został Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego *Virtuti Militari*.

Ї нас на Wołyniu - У нас на Волині

## АНТОНІЙ МАЛЬЧЕВСЬКИЙ ВКОТРЕ ЗІБРАВ СВОЇХ ШАНУВАЛЬНИКІВ



Учасники XII Конкурсу польської поезії імені Антонія Мальчевського

24 березня 2018 р. Дубенський замок в чергове приймав читців XII Міжнародного декламаторського конкурсу польської поезії імені Антонія Мальчевського, цього річ присвяченого 225-ій річниці з Дня народження поета.

Організаторами конкурсу були Клуб інтелектуальних жінок Дубенщини “Волинська азалія” і Дубенська міська рада.

Метою декламаторського конкурсу польської поезії для мешканців України була промоція польської літератури в Україні, інтеграція українців і поляків, вдосконалення артистичних вмінь,

співставлення творчих досягнень, знання історії рідного краю.

Конкурс „А. Мальчевський – гордість Дубенської землі” пройшов вже дванадцятьє. Умовою участі в ньому було представлення двох віршів польською мовою – одного з творчого доробку Антонія Мальчевського, другого – за вибором конкурсанта – одного із сучасних поетів. З уваги на те, що А.Мальчевський не один з відомих авторів рівненської землі, дітям до 12 років було запропоновано вибрати один з віршів Чеслава Янчарського, уродженця с. Грушвиця Волинського



воєводства Польща, нині – Рівненський район Рівненської області України, автора всесвітньо відомого Ведмедика Вухастика.

Цьогоріч (в силу об'єктивних причин, в тому числі і з-за погодних умов) в конкурсі взяли участь лише діти та молодь Дубенщини.

На конкурсі пролунало і поетичне двоголосся, учасники журі, а серед них були відомі українські письменники Любов та Микола Пшеничні, Микола Тимчак прочитали свої власні вірші українською мовою написані на честь нашого земляка, класика польського романтизму А. Мальчевського.

Захід розпочався запалюванням свічки в честь пам'яті видатного поету, земляку, засновнику української школи в романтичній польській поезії, яке здійснила наймолодша переможниця минулого конкурсу.

А також відкриттям незвичайної виставки. Виставки творчих робіт «Антоній Мальчевський і Дубно». На якій присутні познайомились з оригінальною різьбленою роботою народного умільця Сергія Яковчука.

На виставці було представлено 15 робіт, і з задумом кожної поділились їх виконавці. У ролі головного експерта

виступив автор першої меморіальної дошки А. Мальчевському у Дубні Микола Тимчак.

Привітати учасників конкурсу та усіх шанувальників А. Мальчевського прибуло багато почесних гостей. З вітальним словом до присутніх звернувся міський голова Василь Антонюк, помічник народного депутата України О. Дехтярчука, А. Пахалок та інші.

Вже традиційно на конкурсі було багато приємних несподіванок. Учасники заходу стали першими, хто отримав кишеньковий календарик, випущений саме до цього дня, виданий за сприянням і фінансової підтримки народного депутата України Олександра Дехтярчука.

Мали також нагоду поласувати свіженькими і смаченькими тістечками і соками, виготовленими дбайливими руками господині і її помічників з „Солодкого дому” Наталії Мудрик ...

Гостями конкурсу була делегація польських вчителів з гміни Котунь, Седлецького повіту, Польща.

Змагання учасників конкурсу оцінювало журі, в складі якого були поети, вчителі, вікарій Римо-Католицької Церкві св. Йона Непомука – о. Марцін Цесельські...

Журі в своїй оцінці взяло до уваги те, як конкурсанти вимовляють слова, які в них наголоси, як акцентують цілі речення, чи вони переживають цей вірш, чи відчувають його...

Конкурс, який вже шістнадцять років проходить у Дубно, є чудовою нагодою зацікавити дітей писаною поезією польською мовою.

Виступи учасників були креативними, неповторними. Конкурсанти виконували твори під акомпанемент бандури, з елементами театралізації...





### Початок конкурсу

Оцінки журі були критичними, вони довго радились, а коли оприлюднили свій вердикт, то він був схвальними.... Діти дуже гарно за презентували себе.

Цього дня жоден з учасників заходу не залишився без подарунка. Від організаторів конкурсу всі учасники отримали подарунки та почастунок. За доброю традицією нашого конкурсу – самий великий подарунок чекав за лаштунками на наймолодшого учасника нашого конкурсу. Скажу відверто, що всього 2 дні в даті народження вирішили долю двох конкурсанток...

На завершення зробили багато спільних фотографій... Як завжди,

конкурс завершився тремтливими почуттями, бо з однієї сторони не хотілось його завершувати, а з другої, ми розуміли що нашим конкурсантам не терпиться побігти додому і поділитись з рідними своїми здобутками і подарунками... А дехто вже складав і плани на майбутнє...

Конкурс нас упевнив ще в одному – на світі є різні проекти, які мають викликати в людях добро. Наш же полягає у тому, що через безпосередній зв'язок дітей і молоді з перлинами світової культури, долається дорога до пам'яті, в якій пізнається історія рідної землі, виховується почуття вартості, що шануються традиції культури, і не дають зникнути у пам'яті людства кожній зірці, не дивлячись на її походження чи віросповідання.

Цей день пролетів дуже швидко. Ми дуже вдячні всім, хто допоміг його організувати і провести.

*Ерна Шевчук*



**Historia Kościoła na Ukrainie - Історія Церкви в Україні**

## ZGROMADZENIE SIÓSTR BENEDYKTYNEK MISJONAREK NA UKRAINIE W LATACH 1977-1991



**S. Klara Staszczak (1905-1991)**

**– Odnowicielka Zgromadzenia Sióstr  
Benedyktynek Misjonarek na Ukrainie**

W latach wymienionych w temacie tego referatu nie było jeszcze Ukrainy jako samodzielnego państwa. Funkcjonowała ona jako jedna z republik Związku Radzieckiego. A tam jak wszystkim wiadomo wszelkie formy i przejawy religijności były zabronione i tępione. Jak doszło zatem do odrodzenia na tych terenach i w takich okolicznościach habituwego zgromadzenia zakonnego?

Powrót naszego Zgromadzenia na tereny na których powstało wiąże się z postacią s. Klary Staszczak. Dużo by można o niej mówić, gdyż była to osoba bardzo aktywna: przed II wojną światową znajdowała nowe miejsca do założenia placówki i podjęcia posługi. W czasie wojny zaangażowała się jako łączniczka Armii Krajowej. Po wojnie i przeniesieniu Zgromadzenia do centralnej Polski była znana jako wychowawczyni i kierowniczka najpierw Domu Dziecka a potem Zakładu Wychowawczego w Puławach, który obecnie nosi jej imię. Niektórzy znają s. Klarę z talentu pisarskiego, gdyż zostawiła wiele wspomnień i relacji ze swojego ciekawego życia. Za przykład mogą posłużyć wydane już z inicjatywy s. prof. Ambrozji Kalinowskiej w formie książkowej wspomnienia s. Klary z tułaczki podczas II wojny światowej [1]. Kolejnym ważnym rozdziałem w życiu s. Klary był dla niej etap przejścia na emeryturę i podjęte wtedy wyjazdy na Ukrainę Sowiecką, które zaowocowały zaszczerpieniem tam ponownie życia zakonnego w ramach naszego Zgromadzenia. Na tym właśnie etapie życia i działalności s. Klary Staszczak teraz się skupię.

Prawdopodobnie pod koniec lat pięćdziesiątych poprzez znajomych z Równego odnowił się kontakt s. Klary z ks. Antonim Chomiczkiem, pracującym już wtedy jako duszpasterz w Murafie. Nawiązana po wojnie korespondencja s. Klary z ks. Chomiczkiem zaowocowała przyjazdem ks.



**Murafa – Wacława Domańska, ks. Antoni Chomicki, ks. Bronisław Bernacki, Leonarda Swarczewicz, s. Klara Staszczak (w białym fartuchu).**

Antoniego w odwiedziny do Polski na jesieni 1967 r. oraz zaproszeniem s. Klary na Ukrainę [2].

W latach 1971-76 s. Klara Staszczak odbyła kilka podróży na Wschód (dokładnie pięć). Władze pozwoliły jejjechać w habicie, jednak sama postanowiła z niego zrezygnować i nosić strój świecki podczas kilkumiesięcznych pobytów w Związku Radzieckim. Z Murafy, gdzie głównie przebywała u ks. Antoniego Chomickiego, ks. Chomicki zabierał ją także do innych miejscowości objętych jego duszpasterską posługą. Odwiedzali także innych pracujących tam kapłanów, szczególnie tych, których s. Klara kiedyś знаła. W tym czasie poznała ks. Bronisława Bernackiego z Baru. W swoich wspomnieniach s. Klara zapisała wiele przykładów męźnej postawy i głębokiej

wiary ludzi świeckich i kapłanów, którzy nie uginali się pod reżimem, lecz trwali przy Bogu i Kościele pomimo przesładowań. Starła się być pomocną w każdy możliwy sposób: poprzez przekazywanie wartościowych książek (głównie o tematyce religijnej), przygotowanie do sakramentów świętych, rozmowy z ludźmi, odwiedzenie chorych czy choćby częstowanie herbatą uczestników parafialnego odpustu. Ważne jak się później okazało było jej zaangażowanie w organizowanie spotkań dla kółek różańcowych i tercjarek [3]. W 1976 r. w barskim kościele którego proboszczem był ks. Bronisław Bernacki, uczestniczyła w zamkniętej uroczystości przyjmowania kandydatek do III zakonu św. Franciszka. Przyszła jej wtedy myśl czy te młode kobiety nie chciałyby zostać siostrami benedyktyнками. Modliła się o



**Murafa – S. Klara Staszczak (w białym fartuchu) częstuje ludzi przybyłych z odległych stron na odpust parafialny.**

światło w tej sprawie i radziła ks. Bernackiego, który wyraził swoje pełne poparcie [4]. Po powrocie do kraju zasięgnęła jeszcze rady o. Franciszka Małaczyńskiego z Tyńca [5] i przedstawiła całą sprawę Przełożonej Generalnej którą była w tym czasie M. Cecylia Serwońska. Z głową pełną wspaniałych planów wróciła następnego roku na Wschód już z pozwoleniem na przyjęcie kandydatek do naszego Zgromadzenia.

S. Klara Staszczak w następnych latach 1977-1991 odbyła jeszcze cztery podróże na Wschód, które spędziła głównie na organizacji i kształtowaniu zakonnego życia. W ramach przygotowania pierwszych kandydatek radziła im więcej się modlić, nawet w czasie pracy starać się trwać sercem przy Panu Bogu, a przede wszystkim nikogo nie wtajemniczać w zakonne plany [6]. Pierwsze po wielu latach obłóczyny benedyktynek na tej ziemi odbyły się 30 sierpnia 1977 r. wieczorem

podczas Mszy św. w obecności najbliższych przy zamkniętych drzwiach. Ukryty nowicjat rozpoczęły wówczas: Weronika Hrabczak – s. Petronela, Janina Ciecierska – s. Klementyna i Helena Korecka – s. Olga. Nowicjuszki zamiast welonów otrzymały na głowę poświęcone białe chustki. Po trzech miesiącach zgłosiły się z prośbą o przyjęcie trzy kolejne kandydatki. Zostały przyjęte i 8 grudnia 1977 r. rozpoczęły nowicjat: Regina Głuszko – s. Benedykta, Nela Baran – s. Franciszka i Halina Hucal – s. Antonina. Ks. Bronisław Bernacki stał się opiekunem i ojcem duchownym tej gromadki siostr [7] i wspierał je swoją pomocą, chociaż groziło mu za to więzienie. Wykazał się więc jako młody wówczas kapłan wielką odwagą.

Początkowo dwie pierwsze nowicjuszki mieszkały razem w wynajętym prywatnym mieszkaniu a pozostałe w domach rodzinnych. Kontynuowały prace państwowe, starając się swoją postawą



**Murafa – Siostry benedyktyнки i znajomi katolicy przed figurką Matki Bożej przy kościele: od lewej: s. Benedykta Gluszko, NN, Maria Kozak, s. Antonina Hucal, s. Olga Korecka, NN, II rząd – Hanna Hucal, NN, s. Klementyna Ciecziurska, s. Petronela Grabczak, siedzi poniżej – s. Klara Staszczak.**

dawać przykład chrześcijańskiego życia w tamtych środowiskach [8]. Chodziły po świecku a wyróżniały je tylko białe chustki na głowie. W czasie wolnym od pracy państwowej, siostry opiekowały się kościołem, a także w razie potrzeby pomagały na plebanii. Nauczały ludzi prawd wiary oraz spieszyły z pomocą do chorych. Z czasem proboszcz przydzielił siostrze jeden pokój na plebanii, gdzie dwie z nich zamieszkały, a pozostałe schodziły się codziennie na wspólne ćwiczenia duchowne [9], których uczyła ich s. Klara. Z czasem pomyślały o zakupieniu własnego budynku z przeznaczeniem na dom zakonny. Dzięki wsparciu materialnemu licznych dobrodziejów udało się nabyć i urządzić dom w Barze przy ul. Stelmacha 12. Przenieśli się tam 12 marca 1978 r. a pierwszą przełożoną została s. Petronela. Po nie-

zbędnych remontach przeznaczono także jeden pokój na konspiracyjną kaplicę, w której pierwszą Mszę św. odprawił ks. Bernacki w uroczystość NSPJ w 1979 r. [10]

Założenie domu zakonnego w ówczesnych realiach było rzeczą niesłychaną i niesamowitą, wymagającą także od wstępujących kandydatek dużo odwagi, wiary i samozaparcia. S. Klara pouczała młode siostry o życiu zakonnym w czasie swoich odwiedzin, które z kilkumiesięcznych stały się prawie rocznymi, a najdłuższe i ostatnie zakończyły się jej śmiercią.

31 sierpnia 1978 r. trzy siostry po roku nowicjatu złożyły pierwszą czasową profesję. Uroczystości tej przewodniczył ks. Bronisław Bernacki w kościele przy zamkniętych drzwiach podczas wieczornej Mszy św. Siostry profeski prosiły w zakry-



**Bar – Siostry benedyktynki przed figurką Matki Bożej przy kościele, od lewej: s. Jozafata Szklarczuk, s. Aleksja Diadiuk, ks. Zenon Turowski – o. Albert OFM, s. Franciszka Baran, s. Klara Staszczak, s. Petronela Grabczak, s. Władysława Szklarczuk, s. Romana Motuzok, s. Magdalena (Lena) Humeniuk, s. Karolina Szklarczuk, s. Klementyna Ciecierska, s. Benedykta Gluszko.**

stii swoje matki oraz s. Klarę Staszczak o błogosławieństwo. Natomiast ksiądz wręczył im krzyże na tasiełce, które miały nosić pod suknią [11].

W Barze w 1979 r. 1-ego września odbyła się kolejna uroczystość obłóczyn nowych sióstr: Lusi Moros – s. Adeli, Marii Szklarczuk – s. Jozafaty i Stanisławy Słabiak – s. Zyty. W roku następnym także w Barze wymienione siostry złożyły pierwszą profesję, a wraz z nimi s. Aleksja – Antonina Diadiuk, która została obłoczona tego samego roku co one, tylko w Żmerynce, gdyż tam wstąpiła i przebywała na placówce. W sierpniu 1982 roku s. Petronela i s. Klementyna złożyły już śluby wieczyste, a następnego roku s. Antonina, s. Benedykta i s. Franciszka.

Ks. Bronisław Bernacki prowadził siostrzom co miesiąc dzień skupienia, a dzień ślubów wybierał w pobliżu swoich imienin, żeby móc zaprosić z tej okazji więcej księży. Wtedy miały siostry też trzydzielnio rekolacje przed tymi uroczystościami, a profesję składały wobec jednego z zaproszonych kapłanów. Karty ślubów wkładano w butelkę i zakopywano w ziemi. Do kościoła chodziły wtedy siostry jeszcze po świecku, ale potem na chórze zakładały habity i w takim stroju odnawiały i składały profesję, przy zamkniętych drzwiach kościoła i w obecności tylko najbliższych i najbardziej zaufanych osób [12].

Siostry przez cały czas czuły zagrożenie ze strony władz i chociaż bardzo stara-



Bar – na górze od lewej: Julia Antoniuk, s. Zyta Slabiak, s. Adeła Moroz, s. Jozafata Szklarczuk, s. Tekla NN, Bronisława Gonczar, Katarzyna Matwijec (w chusteczkach nowicjuszek). Na dole (I profesja): s. Petronela Grabczak, s. Aleksja Diadiuk, s. Franciszka Baran, s. Benedykta Głuszko, s. Antonina Hucal, s. Klementyna Cieciorska. S. Petronela przebywała w Wilnie na kursie krawieckim i na wzór benedyktynek wileńskich siostry

uszyły sobie stroje do pierwszej profesji zakonnej, którą składały potajemnie, przy zamkniętych drzwiach kościoła Humeniuk, s. Karolina Szklarczuk, s. Klementyna Cieciorska, s. Benedykta Głuszko.

ły się uważać i być jak najbardziej ostrożne, to grożące im niebezpieczeństwo wciąż budziło ich niepokój. W relacjach s. Klary Staszczak znajdujemy notatkę, że władze często przychodziły na różne kontrole do ich domu [13]. Z tego powodu siostry zwracały szczególną uwagę na to, aby nic nie wzbudzało podejrzeń milicji.

Od 1978 r. siostry podjęły pracę w Żmerynce w parafii św. Aleksego, którą od wcześniejszego roku opiekował się ks. Bernacki. Ks. Bronisław dopomógł jak zawsze nabyć tam działkę i dom. Tam od razu wstąpiła Antonina Diadiuk, której na cześć patrona parafii s. Klara nadała imię s. Aleksja [14], pracowała ona konspiracyjnie jako katecheta przy parafii oraz oficjalnie jako pielęgniarka w szpitalu. Z czasem zgłaszały się kolejne dziewczęta jako kandydatki do życia zakonnego w naszym Zgromadzeniu.

W 1985 r. powstała placówka w Szarogrodzie. Siostry pojechały tam na odpust i pomagały w przygotowaniach do niego. Wtedy tamtejszy proboszcz poprosił, aby

siostry przyszły pracować także do jego parafii. Wkrótce w odpowiedzi na tę prośbę kilka sióstr zostało na stałe skierowanych tam do pracy [15].

W 1991 r. siostry dostały zaproszenie do Kamieńca Podolskiego, aby podjąć pracę w kurii diecezjalnej i w katechezie.

W ten sposób powstały pierwsze domy Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek na Ukrainie. Siostry były po prostu otwarte na potrzeby chwili, odważnie decydowały się na niebezpieczeństwo i ryzykowną, niepewną przyszłość jako osoby konsekrowane, w czasach, gdy taki stan nie miał w ogóle prawa istnieć. Ufały w Opatrzność Bożą, tak jak ich tego uczyła s. Klara.

Przełomowym zarówno dla narodu ukraińskiego jak i dla młodej części Zgromadzenia na Ukrainie był rok 1991 r. Tamtego roku 19 czerwca zmarła w Barze s. Klara Staszczak a jej pogrzeb stał się wielką manifestacją religijną, gdyż uczestniczyło w nim wielu księży przybyłych na rekolekcje, a nasze siostry po raz

pierwszy oficjalnie wyszły na ulice w habitach. Chwilę później 24 sierpnia Ukraina uzyskała niezależność od Związku Radzieckiego. Od tego momentu zaczęło się nowe życie dla obywateli państwa ukraińskiego i być może paradoksalnie wraz ze śmiercią s. Klary zaczęło się również nowe życie Zgromadzenia na tej ziemi. Złożenie do grobu jej ciała właśnie tam na Wschodzie, stanowi jakby ponowne zakorzenienie w tej tradycji i historii Zgromadzenia, która tam się kiedyś zaczęła i potem została brutalnie przerwana przez wojnę i zmiany granic.

Także w 1991 r. miało miejsce inne ważne wydarzenie – Zgromadzenie zostało zarejestrowane w Urzędzie Wyznań w Kijowie, otrzymało status prawny i od tej pory już legalnie mogło dalej istnieć i działać.

W kolejnych latach Zgromadzenie uzyskało sanację wszystkich nieprawidłowości względem ważności nowicjatów i ślubów pierwszych kilku sióstr na Ukrainie. Zaczęły wspierać tę misję siostry z Polski. W 1992 r. została utworzona Delegatura Zgromadzenia z siedzibą w Barze, gdzie siostry otrzymały zniszczony pokarmelicki klasztor. Obecnie po wyremontowaniu jest on domem głównym Zgromadzenia na Ukrainie i siedzibą Delegatury.

Aktualnie na Ukrainie pracuje ok. 40 sióstr w 12 miejscowościach: Bar (1977), Żmerynka (1979), Szarogród (1985), Kamieniec Podolski (1991), Derebczyn (2000), Wołoczysk (2001), Izmail (2003), Łuck (2006), Biała Cerkiew (2008), Biłohiria (2012), Gródek Podolski (2014), Bałyn (2016). Okresowo istniały placówki w Kopajgrodzie (1999-2007), Latyczowie (2001-2003), Kowlu (2002-2006), Ługańsku (2009-2014) i w Tołoczynie na Białorusi (2009-2015).

s. *Dobrawa Ewa Piaścik OSB*

Przypisy:

[1] K. K. Staszczak OSB, „*Drogi Opatrzności Bożej w czasie II wojny światowej dla Sióstr Benedyktynek Misjonarek. Wspomnienia*”, oprac. Ambrozja Jadwiga Kalinowska OSB, Seria Biograficzna, t. 4, Olsztyn 1998.

[2] T. M. Wolska OSB, „*Zaangażowanie Sióstr Benedyktynek Misjonarek na rzecz Kościoła Katolickiego na Ukrainie*”, ABMO, tk. Historia Zgromadzenia 5, s. 8.

[3] K. K. Staszczak OSB, „*Wspomnienia z pobytu na Ukrainie 1971-1976*” [Wówczas Związek Radziecki], ABMO, rkps, tk. P 12/4/1, s. 97.

[4] Tamże, s. 165-167.

[5] K. K. Staszczak OSB, „*Odrodzenie Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek na Ukrainie 1976-1979*”, ABMO, rkps, P 12/4/2, s. 5.

[6] Tamże, s. 7.

[7] Tamże, s. 11.

[8] Tamże, s. 9.

[9] Tamże, s. 11-12.

[10] Tamże, s. 14-15.

[11] K. K. Staszczak OSB, „*Relacje ustne z 1984 r.*”, ABMO, rkps, s. 3.

[12] P. W. Hrabczak OSB, „*Relacja ustna zebrana przez autorkę pracy w Barze na Ukrainie w dniach 03-04 marca 2008 r.*”.

[13] K. K. Staszczak OSB, „*Relacje...*”, s. 7.

[14] Tamże, s. 23.

[15] P. W. Hrabczak OSB, „*Relacja ustna...*”.

Artykuł napisany na podstawie pracy magisterskiej s. Dobrawy Ewy Piaścik, „*Zgromadzenie Sióstr Benedyktynek Misjonarek na Ukrainie w latach 1977-1991*”, ABMO.

